



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Barbara Krawczyk

Gorzki kraj lat dziecińczych...

Między Styrem a Konopielką

Urodziłam się na Kresach w Małopolsce Wschodniej, ale świadome dzieciństwo i lata wojny spędziłam na Wołyniu w Armatniowie. Była to mała miejscowość zamieszkała przez osadników wojskowych, położona na skrzyżowaniu szosy Łuck – Równe i linii kolejowej Kiwerce – Równe, otoczona zewsząd rdzennie ukraińskimi wsiami.

Mieszkaliśmy w szkole, gdzie moja mama pracowała jako nauczycielka, a jednocześnie kierowniczką tej placówki. Ojciec mój był zawodowym oficerem, przeniesionym w stan spoczynku w 1936 ze względu na zły stan zdrowia. Szkoła była nieduża – 4-klasowa. Mieściła się w pewnym oddaleniu od wsi, przy drodze do lasów hr. Jezierskiego. Niedaleko szkoły na rozstajnych drogach stał wysoki krzyż, gdzie odbywały się majowe nabożeństwa, bo do kościoła było aż 7 kilometrów. Na krzyżu wisiał ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej. Uciekając z Armatniowa w 1943, zabraliśmy go ze sobą. Jest teraz na grobie rodziców na Powązkach. Tuż za wsią, a właściwie osadą, złożoną z 10-11 domów płynęła mała rzeczka Konopielka, a zaraz za nią rozciągały się ogromne lasy, sięgające podobno aż po Briańsk. To położenie: las i Ukraińcy, odcisnęło na moich wojennych przeżyciach szczególnie bolesne piętno.

Szkoła była wielonarodowościowa. Uczęszczały do niej dzieci polskich osadników, niemieckich kolonistów i ukraińskich chłopów z pobliskich wsi. O ile z niemieckimi kolonistami mama miała różne targi, to do rodziców swoich ukraińskich uczniów odnosiła się życzliwie. Nie polonizowała ich na siłę, szanując obyczajową i religijną odrębność, współczuła biedzie i nie stosowała kar pieniężnych za nieprzysyłanie dzieci do szkoły zimą. Słyszałam raz, jak tłumaczyła inspektorowi, który robił jej wywówki za zbyt łagodne podejście: „Gdyby ojciec Hrycia miał 7 złotych na grzywnę, to kupiłby dziecku buty i chodziłoby do szkoły, bo wiosną i latem chodzi. To nie jest żaden bojkot polskiej szkoły, tylko brak butów i ciepłej odzieży”. Nic więc dziwnego, że wśród miejscowej ludności cieszyła się sympatią i szacunkiem. Uczucia te wytrzymały najcięższą próbę i uratowały nas z krwawej pożogi, jaka ogarnęła Wołyn w 1943 roku.

Niewiele pamiętam z Polski przedwojennej, ale nastrój nadciągającej jak burza wojny utrwalił się w mej pamięci bardzo wyraźnie. Odwołane moje pierwsze wakacje nad morzem, plakaty, komunikaty i przemówienia radiowe, gazety, no i ta atmosfera wielkiego napięcia w domu. Przy stole rodzice mówili wyłącznie o polityce, całkowicie nią pochłonięci. Nie wszystko rozumiałam, ale słuchałam

z wielkim zainteresowaniem. Były to tematy o wiele ciekawsze od codziennych uwag typu: „siedź prosto”, „nie jedz palcami”, „trzymaj łokcie przy sobie” itp. Byłam dzieckiem niespełna ośmioletnim, ale wojny nie bałam się zupełnie. Kolorowa Polska mojego dzieciństwa z pięknymi końmi, ułanami, szablami, chorągiewkami wydawała mi się krajem ogromnym i silnym. Bo wychowywano mnie wielce patriotycznie na Grottgerze, Sienkiewiczu, Mickiewiczu, w pełnej apoteozie wszystkiego, co nasze. Ojciec oficer i matka nauczycielka kochali ojczyznę niejako zawodowo. Widziałam wielkie manewry na Kresach, prawdziwe samoloty stojące na ściernisku obok szkoły, ułanów, konie, armaty. Otuchą napawały wiszące w szkole plakaty z Rydzem-Śmigłym na tle nieba pełnego samolotów z napisem: „Silni, Zwarci, Gotowi”. Na 11 listopada maszerowaliśmy z chorągiewkami, śpiewając: „Nasze małe żołnierzyki na placówkach stoją i śpiewają bolszewikom, że się ich nie boją”. Wiedziałam z rozmów rodziców, że Hitler, Stalin, Mołotow i Ribbentrop zagrażają Polsce, ale uważałam, nie wiem czemu, że wszyscy oni to Niemcy. Rysowałam ich w kształcie diabłów z rogami i swastyką, w ramach patriotycznego czynu. I dopiero później, kiedy wkroczyli bolszewicy i przyszli po broń, a przy okazji chcieli zabrać ojcu szablę, a on powiedział: „Nie dam – do Stalina napiszę, że zabieracie pamiątkę”, dowiedziałam się zdumiona, że Stalin to Rosja i bolszewicy, a nie Niemcy. To zgodne ich współlistnienie w charakterze diabłów na moim dziecinnym rysunku-proteście było po prostu Paktem Ribbentrop-Mołotow. A szablę, choć wydaje się to nieprawdopodobne, zostawili.

Wojnę wyobrażałam sobie bardzo prosto. Polskie wojsko od razu na granicy da Niemcom takiego łupnia, że raz na zawsze odechce się im napadać na inne kraje. Propagandę wojenną łykałam jak gęś kluski, toteż byłam ufna, czułam się bezpieczna i pewna naszego zwycięstwa. Pierwsze bomby spadły na Armatniów już 2 września. Byliśmy daleko od linii frontu, mała osada pod lasem, bez wojska i godnych bombardowania obiektów. Mieliśmy, co prawda, to nieszczęsne skrzyżowanie szlaków komunikacyjnych, ale nie ono stanowiło przedmiot ataku. Wszystkie bomby wybuchły bowiem tuż koło domów położonych z dala od szosy. A my, zgodnie z przysłowiem „szewc bez butów chodzi”, nie mieliśmy jeszcze własnego schronu, bo tata powołany do Terenowej Obrony Przeciw Lotniczej zniknął na całe dni. Budował schrony na terenach bardziej strategicznych niż nasza wieś. Skąd mógł wiedzieć, że niemieccy lotnicy będą chcieli zniszczyć te parę domów?

Uciekliśmy do wykopanej w podwórzu piwnicy. Nienawidziłam jej od zawsze, bo było to miejsce mego potencjalnego aresztu za jakieś szczególne przewinienia. Teraz leżałam z nosem w kartoflach, przygnieciona ciężarem mamy, chroniącej mnie w ten sposób od odłamków, ogłuszona wizgiem pikujących samolotów, wyciem i hukami wybuchających bomb. Odmawiałam na cały głos modlitwę „Pod Twoją obronę uciekamy się...” tak, aby moje słowa, przez otaczający zgiełk, dotarły do Tej, która miała nas wziąć w opiekę. Bombardowanie w końcu ustało, ale jeden z samolotów długo krążył bardzo nisko nad szkołą, ostrzeliwując ją z karabinów maszynowych. Dopiero jak wypelżyliśmy z naszej kryjówki i zobaczyliśmy półżywą z przerażenia Stasię, czternastoletnią uczennicę naszej szkoły, zrozumieliśmy, co się stało. To właśnie na nią polowali eleganccy, niemieccy lotnicy, krążąc ponad szkołą. Biedactwo czołgało się w wielkim pośpiechu pod studnię z daszkiem, a oni śmiejąc się, latali wkoło i strzelali. Byli tak nisko, że widziałam ich rozbawione twarze. Opowiadanie Stasi wstrząsnęło mną. Zrozumiałam, że wojna, która tak szybko do nas dotarła, nie ma nic wspólnego z moimi dziecinnymi wyobrażeniami o niej. Zrozumiałam też, że Niemcy są okrutni i bez serca, skoro atakują bezbronne domy i dziewczęta.

W obawie przed kolejnymi bombardowaniami – a było ich jeszcze kilka – schroniliśmy się wszyscy do pobliskiego lasu. Otepiała z przerażenia, zamieniona w wielkie ucho nadsluchujące, czy nie lecą samoloty, niewiele pamiętam z tej eskapady: rozłożył dąb, pod którym koczowaliśmy, sześciolatniego Jędrka, uciekiniera z Katowic, zupełnie pozbawionego instynktu samozachowawczego, który zachowywał się tak, jakby z nieba leciały gruszki, a nie bomby. Ja nie jadłam, nie spałam, wymiotowałam i nie mogłam zrozumieć, jak można bać się bardziej pokrzyw, w które wpycha nas mama, niż nurkujących i ostrzeliwujących drogę samolotów. Lubiliśmy się bardzo. Był to pierwszy chłopiec, który obiecał, że po wojnie ożeni się ze mną, bo mam „takie śliczne, małe łapusie”. Mimo to działał mi na nerwy i po trosze zawstydziała jego nieustanna ciekawość lasu i dręczenie taty, aby mu pokazał żywego dzięcioła, tak jakbyśmy byli na zwykłej wycieczce. Nie pamiętam, po ilu dniach wróciliśmy do domu. Wiem, że było już zupełnie spokojnie. Skończyły się naloty, przejechały szosą czarne limuzyny z udręczonymi paniami, dziećmi, pieskami. Wydawało się, że wojna się skończyła.

17 września pod wieczór bawiliśmy się z dziećmi „w chowanego” w zaroślach obok szkoły. Usłyszeliśmy dziwny, nieznany dotąd hałas, coś jakby grzechotało, tysiące grzechotek. Wybiegliśmy na wysoki nasyp i w dole zobaczyliśmy po raz pierwszy w życiu czołgi. Jak ogromne żółwie z czerwoną gwiazdą pełzły po szosie umajone kwiatami. Może dlatego nie wyglądały aż tak groźnie, bo siedzący w otwartych włazach żołnierze, śmiejąc się, machali do nas przyjaźnie rękami. Wydawało mi się, że oni idą pomóc nam bić się z Niemcami, ale bardzo szybko przekonałam się, że jest wręcz przeciwnie, a to, co widzieliśmy na szosie, było kolejnym rozbiorem Polski.

Nastaly nowe porządki. W klasie orła z koroną zastąpił herb radzieckiej Ukrainy, okrągły jak księżyc w pełni. Dwa lata później był bardzo przydatny w zabawie – rzucaliśmy nim, niby dyskiem, na przyszłokolnym pastwisku. Zniknął krzyż, pojawiły zaś się propagandowe plakaty. Pamiętam zwłaszcza jeden z nich. Może ośmioletnie dziecko nie wie, co to дума narodowa, ale ja, wychowana patriotycznie kresowianka, wiedziałam i ten plakat boleśnie ranił moje uczucia. Przedstawiał on potworne ptaszysko, karykaturę orła z koroną, trzymające w zakrwawionych szponach wynędzniałego, ukraińskiego chłopca w wyszywanej koszuli. Wyciągał on błagalnie ręce do pyzatego i krasnolicego czerwonoarmisty, bagnietem przebijającego drapieżnego ptaka. Kiedy wybuchła wojna niemiecko-radziecka natychmiast, obojczyście i z prawdziwą rozkoszą, podarłam ten plakat na strzępy.

Do szkoły przyszli nowi nauczyciele, przybyły nowe przedmioty: rosyjski, ukraiński i kaligrafia. Ta ostatnia była dla mnie istną karą za najcięższe grzechy. Zupełnie nie mogłam zrozumieć, dlaczego mam pisać tak jak wszyscy, a nie tak, jak umiem i chcę. Zaczęły się pogadanki uświadamiające nas, w jakim obrzydliwym kraju wyzyskiwaczy żyliśmy dotychczas, jaki tchórzliwy i nieodpowiedzialny mieliśmy rząd, który doprowadził kraj do klęski, a sam uciekł zagranicę. O ile to pierwsze traktowałam jako wierutne kłamstwo, bo pamiętam jeszcze, jak piękna była Polska mojego dzieciństwa, to gorzką prawdą o ucieczce rządu czułam się upokorzona. Widziałam przecież na własne oczy sznury czarnych limuzyn toczące się obok szkoły, już od pierwszych dni września. Ich widok i bez uświadamiającej „politgramoty” naruszał idylliczny wizerunek przedwojennej Ojczyzny.

Zaczęły się moje kłopoty ze szkołą. W ZSRR ośmioletnie dzieci zaczynały dopiero naukę w szkole, podczas gdy ja, nie mając ukończonych ośmiu lat, byłam, za zgodą kuratorium, uczennicą aż 3 klasy. To było nie do przyjęcia dla nowych władz. Rozpoczęła się walka z przepisami, przepychanki, komisje, egzaminy. W końcu krakowskim targiem cofnięto mnie tylko do drugiej klasy pod pretekstem braku znajomości języka rosyjskiego. Mnie cofnięto o jedną klasę, a zegary przesunięto o całe dwie godziny, wprowadzając czas moskiewski. Słońce, jak przed wojną, wschodziło i zachodziło o dawnej porze, tylko my dzieci musiałyśmy chodzić do szkoły o 6 rano. Bo dla mnie zawsze była to szósta rano. Nigdy, podobnie jak słońce, nie uznałam tego czasu.

Kiedyś do szkoły przyjechał radziecki inspektor, spojrzął na zegar wiszący w salonie i zapytał: „Czy ten zegar chodzi dobrze?”, na co ja odparłam bez namysłu: „Nie – on spieszy się dwie godziny”.

Ale była chryja! Mama na konferencji nauczycielskiej publicznie została zganiona za wychowywanie córki w duchu sanacyjnym, co nie przystoi radzieckiej nauczycielce. Niewiele czasu upłynęło, gdy znów naraziłam dobre imię mamy jako „radzieckiej nauczycielki”.

Zbliżała się moja Pierwsza Komunia. Dzieci chodziły do kościoła odległego – jak już wspomniałam – o 7 kilometrów. Ja przygotowywałam się w domu, bo rodzice bali się puścić mnie w taką daleką i męczącą drogę, w niepewny czas, głównym traktem, po którym jeździło wojsko. W końcu pewnego dnia dali się przebłagać. Mama jechała do młyna i zgodziła się, bym poszła z dziewczętami do kościoła, a ona w drodze powrotnej nas przywiezie. Przysięgłam jej uroczyście, że nie będziemy czepiać się samochodów ani furmanek i w trójkę wyprawiliśmy się w drogę. Szłyśmy sobie powoli ścieżką obok szosy, gdy zatrzymała się koło nas bryczka zaprzęzona w piękne kasztanki. Dobrodusznie uśmiechnięty siwy pan zaproponował nam podwiezienie. Mimo że pamiętałam o obietnicy danej mamie, nie miałam wyjścia i musiałam z tej propozycji skorzystać, bo moje starsze koleżanki bez zastanowienia już wsiadały do bryczki. Zimno mi się zrobiło, jak w naszym dobroczyńcy rozpoznałam zwierzchnika mamy, czyli „naczelnika” RWNO: Rejonowego Wydziału Ludowej Oświaty. Oczywiście spytał, dokąd idziemy, na co one, nie mając pojęcia z kim rozmawiają, gładko zełgały, że na egzaminy do szkoły. To był straszliwy błąd, bo kto jak kto, ale szef terenowej oświaty doskonale wiedział, że wszystkie szkoły są nieczynne i żadnych egzaminów o tej porze roku nie ma. Wysiadłyśmy przytomnie kawał drogi przed kościołem, ale na nic nasza konspiracja się nie zdała. Zaintrygowany jawnym kłamstwem „naczelnik” zatrzymał bowiem bryczkę, stojąc na kozłach wysłuchiwał dokładnie nasze manewry i w ślad za nami ruszył szosą do kościoła. Wszedł tam od strony zakrystii, zdjął czapkę, przedstawił się zdumionemu proboszczowi i zapytał „co to za zebranie i co tu robią te dzieci?”. Ksiądz zgodnie z prawdą powiedział, że uczymy się religijnych pieśni, co przecież nie jest zakazane. I na tym cała afera zakończyłaby się, gdyby nie fakt, że nie tylko ja jego, ale także on mnie rozpoznał. Przejeżdżając koło młyna, zobaczył mamę, przywołał ją do siebie i do kompletnie zaskoczonych powiedział: „Helena Andriejewna, znajecie ja waszu docz siewodnia w synagogu podwizł”. Bo dla niego „kościół”, „cerkiew” czy „synagoga” to było – „wsio rawno”. „No cóż – ciągnął dalej – nic takiego nie robili, śpiewali, a pop im na harmoszcze grał, ale radziecka nauczycielka nie powinna...” i znów popłynęła pogadanka o tym, co przystoi, a co nie radzieckiej nauczycielce. Te powtarzające się co jakiś czas umoralniające pogadanki były na szczęście jedynymi służbowymi konsekwencjami posiadania źle politycznie wychowanej córki. Innych sankcji nie było. Do końca panowania tzw. władzy radzieckiej mama była nauczycielką i kierowniczką naszej szkoły. Ojciec, chociaż wielu wiedziało, że jest byłym wojskowym, też znalazł zatrudnienie w szkolnictwie. Uczył rosyjskiego, który znał jeszcze z czasów zaboru, i matematyki w sąsiedniej, ukraińskiej wsi. Musiał się gdzieś zatrudnić, bo emerytury nie dostawał, a ponadto wg „nowych porząd-

ków”, każdy niepracujący był „elementem pasożytniczym”, zgodnie z bolszewicką maksymą „kto nie pracuje, ten nie je”.

Żyliśmy sobie na uboczu, normalnie. Zapominałam niekiedy, że gdzieś tam daleko toczy się ciągle wojna. Chodziłam do szkoły, odrabiałam lekcje, a w wolnych chwilach uganiałam się z dziećmi po całej wsi. Wojna, choć to brzmi paradoksalnie, przyniosła mi wolność. Nie miałam przedtem aż takiej swobody i jak dotąd najczęściej samotnie bawiłam się na szkolnym podwórku, toteż odmianę losu powitałam z radością.

Parę tygodni po wkroczeniu bolszewików wyjechali do Niemiec armatniowscy koloniści. Nikt ich specjalnie nie żegnał ani po nich nie płakał. Mijając szkołę, jeden z nich zawołał do mamy: „Ma pani szczęście, kierowniczko, że przyszedli Ruscy, bo gdyby to byli nasi, to wisiaby pani na drzwiach szkoły”. Wracła ta groźba do mnie, jak złowrogie echo przez całą późniejszą, już niemiecką, okupację.

Pewnym urozmaicheniem monotonii naszego życia na wsi był przyjazd siostry mojej mamy Wisi, z trzyletnim synkiem Rysiem i ciocią Hanią, która była właściwie moją cioteczną babcią. Uciekli oni z Kowla po zajęciu przez Czerwoną Armię koszar, w których mieszkali po odjeździe wujka na front. Zatrzymali się u nas przez jakiś czas, w drodze do babci, która mieszkała w Stryju. Tam też przeżyli resztę wojny. Ciocię bardzo kochałam, wychowywała mnie od niemowlęctwa do trzeciego roku życia. Nie miałam też własnego rodzeństwa, więc jej synek był dla mnie jak własny braciszek. Mimo wojny i zaginięcia wujka, który, jak się później okazało, dostał się do niewoli niemieckiej już w pierwszych dniach września, ich pobyt był dla całej rodziny wielkim świętem. Przewracaliśmy oboje z Rysiem dom do góry nogami, wymyślając różne, nieraz groźne w skutkach, zabawy. W czasie jednej z nich wytlukiliśmy mamie prawie wszystkie talerze i tylko dzięki zdecydowanej interwencji cioci Wisi obyło się bez lania. Niestety, moja radość z ich wizyty nie trwała długo, bo ciocia z Rysiem wyjechali. Została z nami tylko ciocia Hania, która opiekowała się mną troskliwie, aż do końca wojny. Bardzo zazdrościłam Rysiewi, że jedzie do babci i będzie z nią mieszkał. Jej dom był dla mnie najszcześniejszym miejscem na ziemi i obiektem wielkiej tęsknoty.

Nadeszła pierwsza wojenna, wyjątkowo sroga, mroźna zima. Podobno nie było takiej w naszych stronach od 100 lat. Zamięt zasypała domy, a mróz nocą sięgał -30°C . I w taką mroźną noc, 10 lutego 1940 roku obudził mnie przed świtem straszny, spazmatyczny płacz mamy. Wywożono osadników! Jej uczniów. Przez wychuchane w zalodzonej szybie okienko widziałam sunące sanie z pochodniami, konwojowane przez jeźdźców w „budionówkach”. Nazywaliśmy ich „czubarykami”. Widok był zatrważający i przypominał obraz Artura Grottgera „Zsyłka”. Mama w nocnej koszuli, okryta futrem, prawie bosa, płacząc wynosiła wszystko, co w domu było do jedzenia. Ignorując protesty odpędzających ją konwojentów, ładowała co tylko mogła na sanie z wywozonymi sąsiadami. Przemoc i wojna znów dały znać o sobie, burząc złudny spokój miesięcy poprzedzających zsyłkę.

Rozpaczliwe pożegnanie, jakie mama urządziła swoim byłym i aktualnym uczniom, nie uszło jej na sucho. Znów odbyła się konferencja nauczycielska z moją mamą jako główną oskarżoną. I znów usłyszała, jak marną jest „radziecką nauczycielką” skoro „wynosi żywność i płacze, kiedy wyjeżdżają wrogowie ludu, którzy gnębili ukraińskich chłopów i bili ich takimi nahajami”. Mama odpowiedziała, że żegnała nie wrogów ludu, a swoich uczniów, i to chyba dobrze, jeżeli nauczyciel lubi dzieci, które uczy. Po powrocie do domu zszokowana powiedziała nam, że demonstrowanej przez „naczelnika” nahajki nie widziała od czasu I wojny światowej, kiedy kozacy w Stryju urządzali pogromy Żydów. I znów innych szykan, poza strachem i upokorzeniami, na szczęście nie było.

Po wywiezieniu osadników w opustoszałej wsi zostały głodne koty, bezpańskie psy i my w polskiej szkole – samotni w morzu ukraińskich wsi. Był porządek w tej zbrodni, a my nie mieściliśmy się w „rozdzielniku”, bo ojciec, chociaż wojskowy, nie był osadnikiem. Ale wiedzieliśmy, że i na nas przyjdzie kolej, że to tylko kwestia czasu. Zaczęliśmy się przygotowywać do drogi, gromadzić zapasy: suchary, mąkę, tłuszcz, ciepłą odzież.

Którejś letniej nocy, w parę tygodni po drugiej wywózce obejmującej uciekinierów z Buga, nad ranem zbudził nas łomot do drzwi. Ojciec uchylił okno sypialni na piętrze i zapytał: „Kto tam?”. „Otkrojtje! NKWD”. Mama skoczyła z łóżka, ściągając ze mnie kołdrę, kazała się ubierać, a sama zaczęła wrzucać do worków przygotowane wcześniej rzeczy. Ciocia Hania, która spała na parterze, poszła otworzyć drzwi. Usłyszeliśmy śmiechy i rozbawione głosy, w tym jeden dziwnie znajomy. Kiedy zbiegliśmy po schodach, zobaczyliśmy mocno „wesołego” naszego proboszcza w towarzystwie autentycznego pułkownika NKWD. Taki sobie po prostu umyślili żart. Nigdy nie słyszałam mamy tak strasznie besztającej księdza, do którego zawsze odnosiła się z szacunkiem i sympatią. Mimo to nie wyrzuciliśmy naszych nieproszonych gości, a na stół, zgodnie z ich oczekiwaniami, wyjechała wódka i zakąski przygotowane ad hoc przez wielce zgorzszą, a bardzo religijną ciocię Hanię. Siedziałam cichutko w kąci, wracając powoli do siebie po ciężkim przerażeniu i zastanawiałam się, jak ksiądz będzie za kilka godzin odprawiał mszę, skoro je, a co gorsza pije alkohol. Nic nie mówiłam, ale kiedy sięgnął po kawał gorącej kielbasy, nie wytrzymałam i łamiąc zasadę „dzieci i ryby głosu nie mają”, powiedziałam: „Proszę księdza, przecież dziś jest piątek”. Natychmiast wyleciałam za drzwi, a tam rozczulona ciocia

wyczuwała mnie serdecznie i pochwaliła, burcząc pod nosem: „Dopiero niewinne dziecko musiało mu przypomnieć o powinnościach kapłańskich. Dobrze cię wychowałam, kochanie”. Zgorszeni moim zachowaniem rodzice byli jednak innego na ten temat zdania, ale od tego zdarzenia przestali podsyłać księdzu na plebanię obiady i domowe smakołyki.

Pierwsze wojenne wakacje spędziłam, jak zawsze, w Stryju u babci. Było spokojnie, a kolej kursowała normalnie, ale podróż różniła się od tych przedwojennych. Wtedy jechałam trzecią klasą, w zatłoczonym często pociągu i koczując na walizkach we Lwowie i Zdobunowie, czekałam na połączenia. Tym razem podróżowałyśmy w wagonie specjalnym dla matek z dziećmi, ozdobionym obrazkami z bajek, z miejscami do leżenia. Na stacji w Zdobunowie skierowano nas do „Izby matki i dziecka”, mnie nakarmiono gorącym mlekiem z bułką i położono do łóżka, bo na pociąg trzeba było czekać prawie całą noc. Po prostu luksus – byłam zachwycona i na porządku radzieckie spojrzałam bardziej życzliwie.

Pobyt w Stryju był jak zwykle wspaniały, ale rozstanie – pamiętam do dziś – rozpaczliwe. Nie chciałam wracać na Wołyń, wyjeżdżać z domu, który kochałam. W tym ślicznym, wygodnym wagonie płakałam histerycznie aż do Zdobunowa, tak jakbym przeczuwała, że nigdy więcej już nie zobaczę Stryja. Z babcią spotkałam się dopiero po wojnie w 1947 w Nowym Sączu, gdzie do śmierci mieszkała. A dom, w którym się urodziłam, spłonął zaraz po ich wyjeździe do Polski.

Po powrocie do Armatniowa zaczęła się zwykła, codzienna rutyna. Rano szkoła, odrabianie lekcji, a po obiedzie zabawy z dziećmi. Mieliśmy już nowych sąsiadów, ukraińców-przedsiedleńców z nad Buga. Przywieziono ich w parę tygodni po zsyłce osadników. Zajęli opuszczone gospodarstwa, ale też byli poszkodowani, bo tęsknili za pozostawioną nad Bugiem własną ziemią, na której zbudowano fortyfikacje wojskowe. Całe dni teraz mówiłam po ukraińsku, bawiąc się ze swoimi nowymi przyjaciółmi: Olą, Stiopą, Hryciem i innymi, których imion już nie pamiętam. Polskiego używałam tylko w domu, choć i tu czasami się zapominałam. Pamiętam, jak poprosiłam tatę przy obiedzie: „Daj meni wylki”, i widelec od razu wylądował na mojej głowie, przypominając mi, kim i gdzie jestem.

Paśliśmy razem krowy, kąpaliśmy się w płytkiej, porośniętej rzęsą sadzawce. Po tej kąpieli wracałam zazwyczaj do domu cała zielona. Pomagałam im w pracach przy lnie, sianie, wykopkach. Lubiałam piec w ognisku ziemniaki, jabłka, chleb – były to delikacje, jakich w domu nie jadłam. Jeździłam na oklep na koniach, pławiąc je w rzece, ale najbardziej lubiałam wyprawy na ryby nad Konopielkę i do lasu, gdzie zbieraliśmy wszystko, co nadawało się do jedzenia.

Lasy były własnością hrabiego Jezierskiego i przed wojną chodziłam tam z tatą, za zgodą nadleśnictwa, na grzyby. Chłopskie dzieci jednak nie miały tam wstępu i każde naruszenie tego zakazu było traktowane jako kradzież, co przy spotkaniu z gajowym groziło, w najlepszym wypadku, odebraniem zbiorów. Wojna i „radzieckie porządki” otworzyły las. Bez przeszkód chodziliśmy już wszyscy razem na jagody, poziomki, maliny, a jesienią na grzyby i żurawiny. Zbieraliśmy też całymi workami dorodne żołądźce jako karmę dla świń. Podobno od takiej paszy były tłuste i miały bardzo smaczną słoninę – przysmak ukraińskiej kuchni.

Byłam ekspertem w sprawie grzybów. Zbierałam je z tatą od małego dziecka, wiedziałam, gdzie są najlepsze grzybowiska, bo las znałam bardzo dobrze, byłam przecież „tutejsza”. Lubiałam nasze leśne wyprawy i bardzo boleśnie odczułam, kiedy przyszedł czas, że lasy stały się niebezpieczne i już nie można było hasać po nich bezkarnie.

Pamiętam błoto, wspaniałe, czarnoziemne, wołyńskie błoto. Jak miło było udeptywać je bosymi nogami na gęste, podobne do lepienia ciasto. Jakie piękne babki, placki i „ozdobne korowoje” wypiekałyśmy z niego na poboczach drogi, jakie jeziora i fosy budowaliśmy w rowach.

Najpiękniejsze jednak były łąki nad Konopielką pod lasem. Tak ukwieconych, bujnych łąk nigdy już potem nie widziałam, a te nad Radomką, po których dziś ugania moja wnuczka, wydają mi się, mimo swojej niezaprzeczalnej urody, zwykłą, jałową pustynią. Po wielu latach wróciło do mnie echem wspomnienie wołyńskich łąk i wieczorów nad rzeką. Którejś jesieni graliśmy z przyjaciółmi w brydża do późnej nocy w naszej leśnej chacie. Po skończonej grze wyszliśmy jeszcze na spacer. Było zimno. Pierwsze przymrozki posrebrzyły łąkę, nad którą wisiał wielki jak dynia, prawie biały księżyc. W jednej chwili, bez porozumienia objęliśmy się w pół z moją kresową koleżanką i zaśpiewaliśmy to, co w taką noc śpiewały zwykle ukraińskie dziewczęta:

Szczo to za niceńka
Hospody jasnaja
Wydno chof hołky zbira...

Ciągnęłyśmy wysoko, najpierw jedną, a później inne pieśni, a głosy w ciszy nocnej niosło, aż do wsi. Pod koniec śpiewaliśmy już we troje. I tylko „warszawski” mąż mojej przyjaciółki usiłował przerwać ten koncert. „Przestańcie – mówił – błagam was, przestańcie straszyć ludzi”. Przeżył Powstanie i miał z Ukraińcami bardziej jednoznaczne, niż my – kresowiaczy, porachunki.

Zimą nie było już tylu uciech, topniała nasza paczka, a po drodze na sankach uganił się tylko ci, co mieli buty i ciepłe ubrania. Wołyń nie był życzliwy dla saneczkarzy. Płaski jak stół, zasypywany każdej zimy głębokimi śniegami, z których wiatr formował wysokie, dwumetrowe nieraz zasy. Jeździliśmy więc najczęściej po wyszlizganej sańmi drodze, ciągnąc sanki na zmianę lub podczepiając się do sań, jakimi chłopcy wywozili drewno z lasu. Nie wszyscy lubili takich pasażerów na gapę. Nieraz dostałam przez łeb batem albo spadłam z sanek w kopny śnieg, ledwie je potem doganiając. Kiedyś podczepiłam się do sani pełnych świeżo ściętych gałęzi, byłam bezpieczna, bo niewidoczna. Co z tego, skoro chłop śmignął konia batem, koń poniósł, zleciałam do rowu, a moje piękne saneczki, których mi wszyscy zazdrościli, odjechały na zawsze. Od tej pory musiałam jeździć na szufli do odgarniania śniegu. Inwencja wojennego dziecka i jego zdolność przystosowania się do każdej sytuacji była, jak widać, niewyobrażalna.

W długie zimowe wieczory siadywałam z dziećmi na piecu, przeważnie w chacie Stiopy, słuchając niesamowitych opowieści jego mamy o duchach, zjawach, upiorach, wilkołakach. Nie wiem, skąd to się wszystko brało? Chyba powstały one na prawosławnych cmentarzach, na których pełno było białych, postrzępionych płacht – resztek po wyszywanych ręcznikach, jakimi przyozdabiano groby dziewczyn, zmarłych w panieństwie.

Kiedy do dziewczyny przychodziły swaty, wybraniec dostawał wyszywany osobiście przez nią ręcznik i obwiązany nim szedł dumnie przez wieś, zawiadamiając w ten sposób, że jego oświadczyny zostały przyjęte. Jeśli do dziewczyny, zamiast swatów, przychodziła śmierć, weselnym ręcznikiem opasywano krzyż na jej mogile. Trzeba było mieć dużo odwagi, aby nocą przejść koło ukraińskiego cmentarza pełnego białych zjaw, szelestów, a nieraz jęków zdziczałych kotów.

Na wieczorynkach przy darciu pierza czy przedzeniu lnu śpiewano pieśni – wszystkie smutne i okrutne. O Marusi, którą z miłości Kozak zabił, aby napić się krwi spod jej serca, o Wasylu, co zadał sobie sam śmierć, bo matka nie pozwoliła mu żenić się z ubogą wdową, o Hali, co uwierzyła Kozakom, uciekła z domu, a oni spalili ją przywiązawszy do sosny warkoczami...

Po wielu latach śpiewałam o Hali mojej małej trzyletniej wnuczce Kai, wspominając wołyńskie wieczornice. Śpiewałam po ukraińsku i po polsku we własnym przekładzie:

Jechali Kozacy Znad
Donu do domu
Namówili Halę
Zabrali ze sobą
– Oj ty Halu, młodzusienska Halu,
Wszystko porzuciłaś
I nie czułaś żalu
Jedźże, Halu, z nami,
Z nami Kozakami
Będzie Ci weselej,
Lepiej niż u mamy.
– Oj ty Halu, młodzusienska Halu,
Porzuciłaś matkę
I nie czułaś żalu itd.

Ukraińskie pieśni z wołyńskich wieczorów tkwią we mnie do dziś. Na zawsze zachowałam sentyment do tej namiętnej, serdecznej, ale i pełnej okrucieństwa kultury.

22 czerwca 1941 o świcie zbudził nas warkot messerschmittów i grzechot karabinów maszynowych. Wybuchła wojna niemiecko-radziecka, a my byliśmy tym razem bliskim zapleczem frontu. Rankiem pobiegliśmy z dziećmi do szosy, aby ze zwykłego miejsca w krzakach na nasypie obserwować kawalkadę naładowanych po brzegi ciężarówek, którymi ewakuowały się radzieckie władze. Czułam złośliwą satysfakcję, patrząc jak uciekają w popłochu ci, co przez lata wypominali nam haniebną ucieczkę naszego rządu w 1939 roku. Uczucia miałam jednak mieszane. Cieszyłam się, to prawda, brałam odwet za szydzenie z polskiego tchórzostwa, ale z drugiej strony bałam się Niemców. Wiedziałam już, do czego są zdolni, i pamiętałam o groźbie niemieckiego kolonisty. Może rzeczywiście będą chcieli powiesić moją mamę?

Front przybliżał się błyskawicznie. Znowu powróciły naloty, a wraz z nimi wymioty, głódówka i bezsenność, bo samolotów ciągle bałam się okrutnie. Tym razem nie mogli latać tak bezkarnie jak w 1939, bo szlaków komunikacyjnych broniły zenitówki i radzieckie myśliwce, a walki powietrzne toczyły się nad naszymi głowami. Jedną z nich widziałam osobiście. Leżałam w kartoflisku, wtulona w głęboką bruzdę, przerażona, ale jeszcze bardziej ciekawa tego, co dzieje się nad ziemią. Obróciłam się twarzą do nieba, na którym walczyły dwa samoloty, zataczając szerokie koła. Nurkując i wznosząc się do góry, usiłowały się nawzajem zestrzelić. Skończyło się remisem, ze wskazaniem na zwycięstwo

radzieckiego pilota, którego samolot lekko dymiąc odleciał w kierunku bazy. Niemiec nie miał tyle szczęścia, kilka kilometrów za wsią runął na ziemię i spłonął w słupie ognia.

Koło naszej szkoły okopała się bateria zenitówek. Zrobiło się tak niebezpiecznie, że znów musieliśmy wynieść się z domu. Tym razem pojechaliśmy do znajomych na pobliski chutor, z dala od linii kolejowej i szosy. Mieli oni solidnie wybudowany schron, w którym bezpiecznie przeżyliśmy ataki lotnicze na stację kolejową. Zebrała się tam spora grupa dzieciaków, więc w przerwach między nalotami bawiliśmy się wesoło, zapominając o groźącym niebezpieczeństwie. Bezspornie było mi tam lepiej i normalniej niż w lesie, do którego uciekliśmy w 1939.

Któregoś dnia, pod nieobecność dorosłych, starszy o rok syn gospodarza dorwał się do książek le-karskich swego taty. Zwołał nas wszystkich i pokazał ilustracje dotyczące ciąży, porodu i rozwoju dziecka – od małej malinki-embryona po gotowego do urodzenia dzidziusia w łonie matki. Oslu-piałam ze zdumienia tak, że zatraciłam poczucie czasu i miejsca. Inni zafascynowani byli podobnie – nikt nam tego, co widzieliśmy, nigdy jeszcze nie wyjaśnił. Do rzeczywistości przywróciło nas dopiero wycie pikującego samolotu i huk wybuchających koło domu bomb. O ucieczce do schronu nie było mo-wy. Wpełzliśmy całą trójką błyskawicznie pod łóżko, tam w kurzu i duchocie, wystraszeni przeczekaliśmy krótki na szczęście, ale najgroźniejszy z dotychczasowych, nalot. Byłam przekonana, że to, co nas spotkało, było natychmiastową karą za oglądanie niedozwolonych książek. Przysięgłam so-bie, że nigdy już więcej tam nie zajrzę. Od tego czasu przestałam jednak wierzyć w to, że znalaziono mnie w kapuście.

Wojska radzieckie były w odwrocie. Co prawda gdzieniegdzie toczyły się jeszcze zaciekle walki, sły-chać było coraz bliższą kanonadę artyleryjską. Mówiono o bitwach pancernych, ale generalnie armia cofała się, pozostawiając po sobie opuszczone z braku benzyny lub zaryte w błocie czołgi, skrzynki amunicji, broni itp. Boczными drogami coraz częściej przemykały grupki znękanych, brudnych i głod-nych żołnierzy z rozbitych oddziałów. Nie czuliśmy do nich już niechęci, pomagaliśmy w miarę możliwości, współczując. Byli ludźmi w potrzebie. Wreszcie i na naszym chutorze zrobiło się niebez-piecznie, więc na czas przetaczania się frontu przenieśliśmy się wszyscy do Botynia. Była to wieś ukra-ińska, skrajnie nacjonalistyczna. Przed wojną zabito tam dwóch Ukraińców z OUN-u. Mieszkańcy wsi nocą potajemnie postawili im pomnik. Polskie władze pomnik zburzyły, a po pewnym czasie znów ktoś go odbudował. Mimo tego schroniliśmy się do Botynia, bo w 1941, nie przychodziło jeszcze nikomu do głowy, że z ich strony może nas spotkać coś złego. W dwa lata później wolelibyśmy raczej zginąć od bomb, niż wejść do takiej wsi.

Znajomi chłopcy przyjęli nas serdecznie. Gnieździłiśmy się wszyscy pospołu w obszernej, murowanej piwnicy, kiedy strzelała artyleria. Noce były spokojne, w nocy Niemcy odpoczywali. Było ciepło, więc spaliśmy w sady pod drzewami, obdarowani przez uczynną gospodynię jej wyprawnymi pierzynami. Lepiej, żeby była mniej gościnna, bo takich wszy, jakich nabawiłam się w Botyniu, nie widziałam do końca wojny.

Zupełnie nie pamiętam, jak długo trwała nasza poniewierka poza domem. Dla mnie, w odróżnieniu od wrześniowej wyprawy do lasu, była ona bardziej pełną przygód wycieczką niż utrapieniem. Skoń-czyło się to zaraz po wkroczeniu Niemców. Pierwszy patrol przyjechał na motocyklach z przyczepą. Było ich trzech, młodych, ogolonych i czysto, elegancko ubranych. To dziwne, że nie pamiętam jak byli uzbrojeni, a pamiętam, że na szyjach mieli apaszki w grochy. Nigdy nie widziałam tak ubranego wojska. Pełni najgorszych przeczuć wróciliśmy do domu, nie wiedząc, co przyniesie nam nowa oku-pacja. We wsi pojawiły się białe płachty obwieszczeń, szczegółowo wyliczając, czego pod groźbą kary śmierci robić nie wolno. Powiało grozą. Zanosilo się na rządy silnej ręki, terror i prawdziwą biedę. Po pewnym czasie okazało się, że zakazy można obejść, a Niemców oszukać albo przekupić. Bo byli przekupni – złoto, biżuteria, a nawet żywność, znakomite wołyńskie wędliny, pędzona po kryjomu „księżycówka” – wszystko nadawało się na walutę, za którą można było niejedno załatwić.

Dla Ukraińców nastały lepsze czasy, Niemcy ich wyraźnie faworyzowali. Powołali władze ukra-ińskie, uzbili policję, tzw. Schutzpolizei, której dali dużą swobodę działania. Chodzili oni po wsi czar-no umundurowani z przewagą takich samych charakterów. Mówiono, że mają czarne podniebienia. Brałam to dosłownie i bardzo mnie ciekawiło, jak takie podniebienie wygląda, ale na szczęście miałam już trochę oleju w głowie i nie odważyłam się któregośkolwiek z nich poprosić, żeby mi je pokazał. Zresz-tą mama w porę zdążyła mi wytłumaczyć, że to po prostu znaczy, że są nienawistni wobec różnych lu-dzi, zwłaszcza Żydów, a także Polaków, o czym niebawem mieliśmy się przekonać.

W szkole zawieszono tryzub. Jakoś nie mogę godła Ukrainy nazywać po polsku „trójząb”, bo ten kojarzy mi się z Neptunem i radosnym Świętem Morza. Inaczej niż tryzub, na widok którego odżywają wspomnienia pożarów, trwoźnych nocy, zamęczonych, okaleczonych ludzi – słowem to wszystko, o czym od lat staram się zapomnieć.

No więc, wisiał tryzub, a ja uczyłam się trzeciego z kolei hymnu państwowego „Szcze ne wmerła Ukraina...”. Śpiewałam „Szcze ne wmerła”, dukalam po niemiecku „Unser Fuhrer Adolf Hitler”. Języ-kiem wykładowym był ukraiński, nowym dla nas wszystkich – niemiecki. Cała ta, bynajmniej, nie sen-

tymentalna edukacja, spływała jednak po mnie jak woda po gęsi, nie wyrządzając większych krzywd w skolataną od tego lepetynie. Byłam Polką, wiedziałam o tym. Mogłam się uczyć jeszcze 100 obcych hymnów, a i tak nie naruszyłyby to mojej głębokiej wiary, że chociaż Polski nie ma – wróci Niepodległa, tak jak wróciła po zaborach.

Zresztą zabawa w ukraińską szkołę nie trwała długo, bo po pewnym czasie wszystkie instytucje oświatowe zostały zamknięte. Coś zaczęło iskrzyć w niemiecko-ukraińskim „kochajmy się”, złudzenia co do ustanowienia przez Niemców „Samostijnej Ukrainy” też pewnie wyblakły, bo którejś nocy „szucpolicaje”, jak ich nazywano, podpalili w naszej gminie (a także w innych miejscowościach) posterunek i z niemiecką bronią uciekli do lasu. Skutki tych wydarzeń dla nas, Polaków, okazały się wkrótce tragiczne. Ale to było znacznie później, bo w pierwszych miesiącach okupacji Ukraińcy i Polacy, przynajmniej w naszej okolicy, byli jeszcze nie podzieleni, wspierając się wzajemnie w grze „w chowanego” z okupantem.

Bo chowano, ukrywano wszystko, co zakazane – od rzeczy, po zwierzęta i ludzi. Chłopi chronili prosiaki przed koleczkowaniem, aby móc je tuczyć dla siebie, a nie dla Niemców; oddawano sąsiadom nadprogramowe, tj. posiadane ponad dozwoloną liczbę, krowy w fikcyjnym akcie kupna-sprzedazy. Ukrywano zbiegłych jeńców i własne dorastające dzieci wyznaczane na roboty do Niemiec. Znikały one po prostu w leśnych przysiółkach, gdzie Niemcy nie zaglądali, bojąc się partyzantów.

Mój tata, wbrew zarządzeniom, ani myślał pozbawić się broni. Po prostu ukrył rewolwer w przemysłowym schowku. Ostentacyjnie natomiast oddaliśmy radio, bo w okolicy wszyscy wiedzieli, że je mamy. Niewiele jednak wiedziało, że stary gruchot, jaki pozwoliliśmy zarekwirować, nie był jedynym posiadanym przez nas aparatem. Tuż przed wojną kupiliśmy nowoczesny, wielolampowy odbiornik Philipsa i tego radia, podobnie jak rewolweru, nie oddaliśmy. Służył on rodzicom i ich znajomym do słuchania audycji z Londynu przez cały nasz pobyt w Armatniowie. Przed ucieczką do Łucka radio zostało gdzieś wywiezione z domu, myślę, że do polskiej placówki samoobrony w Przeobrażu.

Miejsce, gdzie przechowywano radio, wykryłam przypadkowo. Bawiliśmy się w pociąg. Uciekając wpadłam do drewni tak gwałtownie, że straciłam niechcący wiszącą na gwoździu wianenkę. Myślałam, że z przerażenia zemdleję – w wianence było radio! Bałam się, że je uszkodziłam, ale jeszcze bardziej bałam się, że za chwilę któreś z goniących mnie dzieci wpadnie do komórki i je zobaczy. Błyskawicznie narzuciłam wianenkę na radio i przysypałam wszystko polanami narąbanego drewna. Pobiegałam do domu po klucz i zamknęłam komórkę. Dopiero wtedy rozplakałam się i szlochając, wszystko opowiedziałam cici. Na szczęście odbiornik był sprawny, a rodzice bardziej dumni z mojej przytomności umysłu niż zagniewani o to, co zrobiłam.

Po dawnemu wieczorami schodzili się do nas zaufani znajomi, niby na karty, ale tak naprawdę na słuchanie radia. Aż kiedyś pod szkołę, w trakcie audycji z Londynu, zajechali Niemcy. Byliśmy pewni, że ktoś nas wydał, że już po nas. Ojciec zdążył jeszcze wpakować radio do mego łóżeczka, pod pierzynkę, a ja skostniała ze zgrozy objęłam je i przykryłam misiem. Na szczęście alarm był fałszywy, choć Niemcy prawdziwi. Zabłądzili, więc wstąpili, aby zapytać o drogę do Johanowa i nawet się nie domyślili, co to za gra w karty. Tata ubrał się, aby im pokazać jak jechać do nadleśnictwa i na tym się skończyło. Niewiele jednak brakowało, abyśmy żywi z tego nie wyszli.

Na szczęście wizyty Niemców w naszej wsi zdarzały się rzadko. Jeździły do Johanowa ciężarówki Baudienstu po drewno, czasem przejechał jakiś samochód z władzami i to wszystko. Gdyby nie linia kolejowa, po której co pół godziny toczyły się transporty na wschód, można by o wojnie i okupacji zapomnieć. Inaczej było pewnie w miastach: w Łucku czy Równem, ale tam zaglądaliśmy teraz rzadziej, bo ludności cywilnej nie wolno było jeździć pociągami. Nie wiem, czy podobny zakaz istniał także na innych terenach okupacyjnych i czy niemieckie auta gdzie indziej zatrzymywały się na prośbę cywilów, by ich podwieźć do rogatek miasta, choć to też było zabronione. Na Wołyniu to podróżowanie „okazją” było bardzo popularne.

Kiedyś wybrałyśmy się z mamą do Łucka. Dość długo stałyśmy na pustej szosie, aż wreszcie z dużą szybkością nadjechała czarna, błyszcząca od niklu limuzyna. Z reguły nie zatrzymywałyśmy takich aut, ale to było tak piękne, że zanim pomyślałam, machnęłam ręką na znak, że prosimy o podwiezienie. Mama nawet nie zdążyła mnie porządnie skrzyknąć, kiedy rozpędzone auto zatrzymało się jakieś 200 metrów dalej i na wstecznym biegu podjechało do nas. Pociemniało mi w oczach od czarnych mundurów i trupich czaszek. Gestapo! No, ale na wycofanie się było za późno! „Wohin?” – zapytał najstarszy rangą. „Nach Łuck” – odpowiedziała mama. „Bitte”. Ale miejsce było tylko jedno. Wylądowałam na kolanach jednego z nich i tak sztywna ze strachu dojechałam do rogatek Łucka. Najstarszy z nich coś tam mówił, że w domu ma taką samą chudziutką blondyneczkę z warkoczycami. Poczęstował mnie czekoladą Sucharda. Od początku wojny nie miałam takiej w ustach i omal nie udławiłam się śliną na jej widok, ale choć byłam strasznie łakoma, hardo odmówiłam.

W rok później, kiedy mieszkaliśmy już w Łucku, mojej mamie przydarzyła się w podróży „okazją” jeszcze bardziej interesująca przygoda. Wraciała właśnie do domu, wioząc resztę rzeczy z Armatniowa, kiedy zatrzymało się przed nią równie eleganckie auto. Tym razem nie było to gestapo, a oficer SS

z kierowcą. Podwieźli ją jak zwykle do rogatek, ale zaproponowali, żeby nie wyjmowała bagażu, bo oni na nią zaczekają za posterunkiem. Nie miała wyjścia, tym bardziej że pakunki były ciężkie. Wysiadła, pieszo minęła rogatki. Oni rzeczywiście, tak jak obiecali, czekali na nią i odwieźli ją pod same drzwi domu.

Dwa dni później siedziałam przy pianinie, brzdąkając jakieś polskie „zakazane piosenki”, gdy ktoś zapukał do drzwi. Wszedł leutnant SS – zmartwiałam, bo wiedziałam, co gram. A on najczystsą polszczyzną powiedział: „Nie przeszkadzaj sobie, moje dziecko, graj, ja chętnie posłucham”. Łatwo powiedzieć „graj”, jak palce miałam sztywne ze strachu. Był to ten sam uczynny SS-man, który podwiózł mamę do Łucka, tyle że w samochodzie przy kierowcy mówił wyłącznie po niemiecku. Przystąpił do nas w odwiedziny, bo chciał sobie porozmawiać po polsku. Był Polakiem z Bydgoszczy. To prawda, że w tamtych stronach Polacy przymusowo byli wcielani do niemieckiego wojska, ale przecież nie do SS. Wypił herbatę, porozmawiał z rodzicami, a potem zapytał, czy może zagrać na pianinie? Usiadł i dał godzinny, wspaniały koncert polskiej muzyki: od Szopena po najmodniejsze przed wojną przeboje. Odwiedzał nas jeszcze kilka razy. Rodzice nie wiedzieli, kim naprawdę on jest – szpiegiem czy szukającym kontaktu z podziemiem – patriotą polskim? Myślę jednak, że gdyby był „Hanssem Klosssem”, to by się tak głupio nie dekonspirował odwiedzinami u nieznanym polskiej rodziny. Na szczęście, po dwóch tygodniach wyjechał gdzieś z Łucka i te irytujące a i kłopotliwe wobec sąsiadów wizyty skończyły się.

Kiedy po latach opowiadałam koleżankom z Warszawy o tych wszystkich zdarzeniach, patrzyły na mnie podejrzliwie, jakbym była jakąś folksdojczką. Żadna nie mogła uwierzyć w tak różny od jej osobistych doświadczeń obraz niemieckiej okupacji. Prawdę mówiąc, różnice te nie były aż takie duże, bo i u nas, zwłaszcza w miastach, Niemcy nieraz pokazywali, na co ich stać. Podobnie jak w Polsce Centralnej z całą bezwzględnością pacyfikowali wsie w odwecie za ataki na niemieckich żołnierzy. Rozstrzelali na miejscu całe rodziny za posiadanie radia i innych rzeczy zakazanych, świadczących o „działaniach na szkodę III Rzeszy”. Ale przede wszystkim karano śmiercią za ukrywanie Żydów. Bo właśnie Żydów i jeńców radzieckich Niemcy traktowali najgorzej, odnosząc się do nich wręcz bestialsko.

Nie wiem, gdzie był obóz jeniecki, ale chyba niedaleko od Armatniowa, bo przez jakiś czas codziennie rano i wieczorem ciągnęły bure kolumny zmęczonych, brudnych i przeraźliwie zgłodzonych ludzi. Kopali głębokie rowy, ciągnące się aż do Równego i dalej. Podobno pod kabel telefoniczny dla Głównej Kwatery Hitlera. Konwojowali ich niemieccy wachmani i ukraińscy policjanci, sadystycznie bijąc za każde urojone lub prawdziwe przewinienie. Widziałam, jak w czasie przerwy obiadowej młody, rosły, ukraiński policjant wytrącił miskę z jakąś ohydą breją z rąk starszego, mocno zabiedzonego jeńca i biciem zmusił go do zlizania rozlanej zawartości z ziemi i własnych butów. Pamiętam oczy tego człowieka. Nie można było patrzeć bezradnie na ich upodlenie i poniewierkę. Postanowiłyśmy obie z Olą, moją ukraińską przyjaciółką, jakoś pomóc jeńcom. Ciocia Hania nas poparła w tej akcji miłosierdzia i codziennie gotowała gar kartofli w łupinach. Kroiłyśmy na porcje ogromne, pieczone w domu bochny chleba i znosiłyśmy to wszystko do krzaków obok szosy. Tam była nasza baza. Kiedy jeńcy wieczorem wracali, ładowałyśmy jedzeni do fartuszków i korzystając z nieuwagi konwojentów, wpadałyśmy w szeregi kolumny. Byli bardzo głodni, ale nigdy nie złamali szyku, nie tłoczyli się przy nas. Wiedzieli, że każde naruszenie porządku w szeregach zdradziłoby strażnikom naszą obecność w kolumnie. Dostałyśmy wtedy za swoje. Dzięki ich zdyscyplinowaniu i gapiostwu wachmanów biegałyśmy między szeregami bezkarnie, aż do wyczerpania zapasów zgromadzonych w zaroślach. Byłyśmy małe i zwinne – wcale nas nie było widać w kolumnie, toteż nigdy nas nie wykryto. Rozzuchwaliliśmy się w końcu tak, że przestałyśmy uważać, no i kiedyś po rozdaniu jedzenia z fartuszka, wyskoczyłam z szeregu prosto pod nogi wachmana. Mógł mnie zabić, ale zdecydował, że na taką smarkulę wystarczy kolba, więc walnął mnie, a właściwie szturchnął w plecy, i na tym się skończyło. Z ogromnego siniaka byłam dumna jak z najcięższych ran wojennych. Niestety, uprzytomnił on rodzicom, jak groźne może być to, co robiłyśmy, bo stanowczo zabronili nam kontynuowania tej działalności. Nie miało to większego znaczenia, bo po dwóch dniach jeńców i tak gdzieś wywieziono. Mówili ludzie, że ich wszystkich rozstrzelano, aby nikt nie dowiedział się, którądy przebiega linia telefoniczna, łącząca Berlin z Ukrainą.

W naszej okolicy nie było ani jednej rodziny żydowskiej. Nie musiałam rozstawać się z przyjaciółmi, patrząc bezradnie, jak prowadzą ich na śmierć. Stąd też los Żydów znam głównie – choć nie tylko – z wieści, jakie na ten temat docierały do nas z Łucka. Opowiadano, że najpierw ich oznakowano białymi opaskami z niebieską, wyszywaną gwiazdą Dawida, potem spędzono do najgorszej dzielnicy Łucka i zamknięto w getcie, aż wreszcie wszystkich wywieziono i zgładzono. W tej zbrodni brali udział ukraińscy policjanci z naszej gminy. Wracali pod wieczór do wsi podpici, podnieceni, z naręczem zdobytych ubrań. Rozdawali je swoim dziewczynom i opowiadali o swoich trudach. Wcale nie żalowali zabitych Żydów. Wręcz przeciwnie! Byli dumni, że wkrótce Ukraina będzie wolna od nich. Nie mieliśmy wtedy jeszcze pojęcia, że jesteśmy następni w kolejce do likwidacji, że i nas „dla dobra Sa-

mostijnej Ukrainy” też będą mordować, przecinając wieloletnie więzy sąsiedztwa i przyjaźni siekierami, nożami i co tam kto miał pod ręką.

Po likwidacji getta pojawili się w naszej okolicy uciekinierzy. Nie słyszałam, aby ktoś ich ścigał czy wydał Niemcom. Jeden z nich, zanim dostał się do leśnych oddziałów, nocował w szkole przez jakiś czas, choć u nas było bardzo niebezpiecznie. Któregoś dnia, pasąc krowę, spotkałam w krzakach przy torach żydowskiego chłopca, mniej więcej w moim wieku. Był zawoszony, głodny i tak wystraszony, że z trudem porozumiewałam się z nim. Dałam mu swoją podwieczorkową kanapkę i popędziłam do domu, aby przynieść więcej jedzenia. Mama przygotowała kurę z obiadu i pół bochenka chleba, ale chłopca po powrocie już nie zastałam. W swoim krótkim życiu zdążył nauczyć się aż takiej podejrzliwości, że nie ufał nikomu.

Choć moja pochodząca głównie z drugiej ręki wiedza o prześladowaniu Żydów była i tak przerażająca, to, co zobaczyłam któregoś dnia na własne oczy, przekroczyło granice wyobraźni i pozostawiło trwałe uraz.

Była zima. Jak zwykle napadało dużo śniegu. Bawiłam się przy szkole obok drogi – lepiłam bałwana. Całkowicie pochłonięta tym zajęciem nie zauważyłam nawet, skąd nadjechała grupka policjantów ukraińskich i SS-manów z wysokimi czapkami. Nie wiem też, skąd znalazło się przy nich dwoje staruszków – siwa kobieta oraz przygarbiony mężczyzna z pejsami i długą brodą. Może przywieźli ich ze sobą aż z Łucka, a może wyciągnęli z jakiejś kryjówki w pobliżu. Zaprzęgli ich do dużego, tzw. Bałagulskiego, drabiniastego wozu zamiast koni i kazali ciągnąć. Oni się nawet starali, ale ruszenie z miejsca ciężkiego wozu, w dodatku zapadniętego po osie w głębokim śniegu, było ponad ich siły. Rozpoczęło się znęcanie: bicie pejsami i kolbami, wrzaski. Stałam przytulona do ściany domu, jak sparaliżowana. Nie mogłam się ruszyć z miejsca ani oderwać oczu od wstrząsającej sceny. Odetchnęłam, kiedy bicie się skończyło, podnieśli ich ze śniegu i wyprzęgli. Pokazując pobliski las, kazali uciekać. Przez chwilę z ulgą pomyślałam, że darują im życie, ale wtedy właśnie zaczęło się najgorsze. Staruszkowie biegli ciężko, zapadając się w śniegu. Uciekali w stronę zbawionego lasu, a Niemcy z policjantami rozpoczęli polowanie, jak na zwierzynę. Strzelali z automatów seriami obok, pod nogi. Uciekający Żydzi podskakiwali niezdarne, często padali, podnosili się, biegli... A oni, ci oprawcy, śmiali się na całe gardło, jakby to była najlepsza zabawa. Nie wiem, jak się wszystko skończyło, bo na odgłos strzałów i mój przeraźliwy krzyk wypadli z domu rodzice i tata zaniósł mnie, szlochającą do domu. Długo nie mogłam się uspokoić z płaczu, w nocy zrywałam się z krzykiem. Stale śnił mi się koszmar, którego byłam świadkiem.

Ten niemiecki, gardłowy, zadowolony z siebie, zły śmiech pozostał w mej pamięci na zawsze. Pięć lat po wojnie do uczelni, w której studiowałam, przyjechała delegacja Niemców. Byli młodzi – zbyt młodzi, aby odpowiadać za wojnę. Bawiliśmy się razem na wieczornicy, tańczyli, śpiewali. Horst, z którym tańczyłam najwięcej, był miły i inteligentny. Ktoś opowiedział jakąś zabawną historyjkę, wszyscy wybuchnęli śmiechem, zaśmiał się i mój partner od tańców – Horst. Był to ten sam, dobrze mi znany śmiech. W jednej chwili zobaczyłam, jak na jego głowie wyrasta SS-mańska czapka i zamarłam z przerażenia. Było to tak widoczne, że wszyscy, łącznie z Horstem, umilkli, nie rozumiejąc, co się ze mną dzieje. Podobno zbladłam jak papier i cała dygotałam, wpatrując się wytrzeszczonymi oczyma w śmiejącego się Horsta. Wstałam i wyszłam z sali bez słowa. Z biegiem lat nauczyłam się bardziej nad sobą panować, ale jeszcze dziś, ile razy słyszę specyficzny, niemiecki rechot, wypływa z pamięci obraz dwójga starych ludzi, biegnących z nadzieją w stronę lasu.

Mijał pierwszy rok niemieckiej okupacji. Pocięliśmy się „słoneczko wyżej – Sikorski bliżej”, ale żyło nam się z dnia na dzień coraz gorzej. Po zamknięciu szkół oboje rodzice stracili pracę, a i pieniędzy nie było. Szkoła miała przydzieloną dwuhektarową działkę, którą mama dotychczas wydzierzała sąsiadom za pieniądze. Teraz zaczęliśmy sami na niej gospodarzyć. Mieliśmy własne ziemniaki i żyto, ale o mąkę było trudno. Młyny stały się niedostępne dla cywilnej ludności – pracowały tylko dla frontu. „Stała Ukraina motorna, zaczyniła młyny – pustyla żorna” mówili ukraińscy chłopcy, którym Niemcy powoli przestawali się podobać. W myśl tego porzekadła, ze starych składzików i chaszczy za chałupami wyciągnięto żarna i mielono na nich żyto na mąkę. Chleb z takiej mąki dawał się zjeść, ale kluski czy pierogi to była zwykła ohyda. Praca przy żarnach też do przyjemności nie należała. Kasze uzyskiwano w stępie, gdzie grykę tłuczono wielkim, ciężkim tłuczkiem. Byliśmy zacofanym technicznie krajem, więc te przedpotopowe narzędzia każdy prawie miał w domu, bo do niedawna jeszcze były używane. Hodowaliśmy świnię, mieliśmy kurnik, dorobiliśmy się też prawie własnej, bo kupionej „na niby” od sąsiada krowy. On ratował rasowe zwierzę przed rekwizycją, a my mieliśmy własne mleko. Najbardziej z faktu posiadania krowy cieszyłam się ja. Od dawna bolałam, że nie mamy żadnej gospodarki, co różniło mnie od innych dzieci. Nie chciałam być „białą wroną”. Chciałam mieć takie same jak inni obowiązki i własną krowę do pasienia. Dbałam o nią bardzo i traktowałam jak najlepszą przyjaciółkę – tym znów różniłam się od chłopskich dzieci, dla których zwierzę, to było tylko zwierzę, a w dodatku wiązała się z nim udręka pasienia. Więc nie chwaliłam się, że cieszę się z tego, że muszę paść krowę, a jak mi było smutno, biegałam do obory i tam przytulona do boku Maliny wypłakiwałam jej swoje dziecięce żale. A ona, choć to wydaje się nieprawdopodobne, szorstkim językiem lizała mnie

współczująco po twarzy, traktując jak swoje własne cielę. Nawiasem mówiąc – była bliska prawdy. Posiadanie krowy zmieniło mój status społeczny w domu – z „powsinogi”, jak kaśliwie nazywał mnie tata, stałam się osobą pracującą, a na pastwisku odtąd przebywałam legalnie. A tam było tak ciekawie. W upalne dni pławiliśmy konie w Konopielce, zbieraliśmy pociski, które starsi chłopcy rozkręcali tak sprytnie, że nikt z nas nie wyleciał w powietrze. My młodszy kolekcjonowaliśmy wszystkie rodzaje prochu i detonatory, które uderzone kamieniem głośno strzelały, był błysk i huk jednocześnie. Z cienkich metalowych rurek napchanych prochem robiliśmy prawdziwe fajerwerki. Zapalało się proch w rurce i kręciło nad głową, kawałki prochu z sykiem wylatywały i płonęły różnymi kolorami, w zależności od rodzaju prochu. Miałam tego istną kolekcję, po prostu mały składzik materiałów wybuchowych, ukryty w łopianach za piwnicą. Dobrze, że to tata go wykrył, nie Niemcy, bo skończyło się tylko na gderaniu.

W domu brakowało już prawie wszystkiego, ale pomysłowość w walce o przetrwanie była niespożyta. Jeśli czegoś brakowało, natychmiast znajdowano namiastkę, czyli „ersatz”. Zabrakło herbaty – parzyliśmy zioła, przeważnie kwiat lipowy, kawę zastępowało zboże palone i mielone razem z dodatkiem żołądźci; cukier, a właściwie jego namiastkę, okropną melasę produkowano z buraków cukrowych. Ocet robiliśmy z obierek jabłkowych; mydło z kości i jakichś innych obrzydliwości. Pojawiły się karbidówki, największy, obok samogonu, okupacyjny wynalazek. Świeciły dość jasno, ale straszliwie śmierdziały, no i czasem wybuchały. Nowością był samogon, nasza wojenna, ponad ustrojowa i międzynarodowa waluta. Samogon – prototyp euro-pieniądza, za który można było wszystko kupić – nawet wolność i życie.

Kiepsko też było z ubraniami, zwłaszcza dla mnie. Rosłam jak na drożdżach, a poza tym uganiałam się po różnych wertepach i chaszczach, więc to, co miałam, albo było z małe, albo podarte. No, ale od czego len? Przy lnie umiałam zrobić wszystko – od pielienia i przerywania po przędzenie na kołowrotku. Płótno tkano u sąsiadów, gdzie były krosna. Potem długie płachty moczyło się w wodzie i rozkładano na trawie, aby wyschły. Lubiłam niebiesko kwitnące łąny lnu. Myślę, że flaga narodowa Ukrainy to złoto pszenicy, ale nie tyle błękit nieba, jak mówią, a łąny kwitnącego lnu. Całe pola były nim obsiane. Nie widziałam takich pól w Polsce. Len nas ratował. Z lnu były prześcieradła, ręczniki, kostiumy i sukienki. Można powiedzieć, że beżowo-lnianą warszawską modę lat 90. wyprzedziliśmy o jakieś pięćdziesiąt lat. Nauczyłam się szydełkować i dziergać na drutach. Z włóczki ze starych sprutych swetrów, z owczej wełny, lnianych nici robiłam skarpetki, pończochy, szaliki, czapki, a nawet kiedyś wydzierałam sobie kostiumik z lnu ufarbowanego na granatowo: bluzkę i układaną spódniczkę.

Podporą rodziny stał się tata – „złota rączka”. Zawsze coś tam sobie dłubał po amatorsku. Teraz otworzył warsztat znany w całej okolicy. Naprawiał zegary, robił wiadra, bańki na mleko, kubki blaszane, zapalniczki, a nawet obrączki i zaręczynowe pierścionki z monet. Dzięki temu znów mieliśmy jedzenia pod dostatkiem, bo zapłata była, oczywiście, w naturze. Wytwórcza działalność taty była dla mnie dodatkową udręką, bo to ja głównie musiałam dostarczać mu surowca. Zbierałam po polach gilzy na zapalniczki, a wzdłuż linii kolejowej puste puszkę po konserwach, wyrzucane z okien pociągu przez jadących na front wschodni żołnierzy. Boże! Cóż to była za obrzydliwość zbierać, a potem czyścić z resztek zeszlęgo tłuszczu blachy z tych puszek. No, ale przecież z czegoś trzeba było robić i wiadra, i bańki na mleko.

Mimo wojny i okupacji rodzice prowadzili dość ożywione życie towarzyskie. Bywaliśmy na licznych przyjęciach w Palczy, w odległym o 6 kilometrów, położonym w głębi lasów, Johanowie, u państwa Rykowskich. Sami też przyjmowaliśmy często gości. Moja zasadnicza ciocia była bardzo zgorzonna tymi biesiadami. Uważała, nie bez racji, że nie czas na zabawy, kiedy jest wojna i naród w niewoli. Ani ona, ani tym bardziej ja nie wiedziałam wtedy, że liczne spotkania były po prostu przykrywką działalności podziemnej ojca i jego przyjaciół, z których jedni byli podwładnymi, a inni jego przełożonymi. Wszyscy oni zaangażowani byli w AK obwód Kiwerce¹. Nieświadoma, o co w tym wszystkim chodzi, cieszyłam się i z gości, i z odwiedzin u znajomych. Najbardziej lubiłam jeździć do Johanowa do pp. Rykowskich, których syn był moim rówieśnikiem, a jednocześnie najlepszym kolegą. Johanów był piękny, a dom rodziców Jędrka gościnnie i przestronny. Lubiłam bardzo mamę Jędrka, panią Helenę – łagodną, miłą i piękną kobietę. Była tam także babcia, utkana z dobroci i wyrozumiałości siwiuteńka staruszka. Często zostawaliśmy pod jej opieką, gdy nasi rodzice gdzieś wyjeżdżali w swych dorosłych sprawach. W Johanowie było gdzie biegać. Naokoło domu lasy, wiele kryjówek. Można było chodzić na poziomki, jagody, maliny. Nigdy nie nudziło mi się tam. Całymi dniami graliśmy w serso na dużym trawniku za domem. Zachowałam w szczególnie ciepłej pamięci podwieczorki na werandzie i góry poziomek z pyszną bitą śmietaną. Choć toczyła się wojna, pobyty w Johanowie zaliczam do mego przedwojennego, jasnego dzieciństwa, tak różnego od okupacyjnej codzienności.

¹ Kto był kim z naszych wołyńskich gości dowiedziałam się dopiero z prac W. Romanowskiego: „Kainowe dni”, Warszawa 1990; „Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa na Wołyniu 1939-45”, Warszawa 1997.

Gdzieś w pierwszych miesiącach 1943 dotarły do nas bardzo niepokojące wieści. Zaczęli ginąć, uprowadzeni nocą z domów, Polacy. Na razie pojedynczo. W ten sposób zginął w naszej gminie aptekarz, w innej wprowadzono nauczyciela, a jeszcze w innej księdza.

W marcu było już pewne, że w lasach zbierają się wielkie zgrupowania uzbrojonych Ukraińców-banderowców, bulbowców, melnikowców – różnie ich nazywano. Ludzie mówili, że popi święcą w cerkwiach noże do walki o „Samostijną Ukrainę” i oczyszczenie jej przyszlých terenów z Żydów, komunistów i Polaków. Żydzi byli już prawie doszczętnie wymordowani – zresztą nie bez udziału ukraińskich policjantów – komuniści w większości poszli do partyzantów. Pozostaliśmy tylko my – Polacy, resztki zdziesiątkowane wielkimi wywozami na Sybir, Lachy – jak nas nazywano – „polskie pany”. Może i my byliśmy panami, bo do mojej mamy ukraiński chłop zawsze mówił „pani”. Nie „pani Heleno”, „pani kierowniczo” jak inni, tylko zwyczajne „Pani, zajdźcie do nas”, „Pani, jak tam w szkole mój Waska”? „Pani” to był tytuł wyznaczający jej pozycję w społeczności wiejskiej. A ja byłam „panienką ze szkoły”, ale tylko na początku, bo później, kiedy całe dni spędzałam z ukraińskimi dziećmi, upodabniając się po trosze do nich, byłam już Basią, a niekiedy nawet „Warią”. Więc może rzeczywiście byliśmy „polskimi panami”, ale czy byli nimi także polscy chłopcy, zamieszkujący z dziada pradziada leśne wołyńskie wioski, sąsiadujący z Ukraińcami przez płot i klepiący z nimi taką samą biedę? Żyli latami obok siebie i, jak to we wsi bywa, żyli różnie. Raz byli w zgodzie, kiedy indziej kłócili się, nieraz bili. Jeśli kłócili się, to o miedzę, którą chytry sąsiad zorał, o krowę w szkodzie, o dzieci w cudzym sadzie, ale nie dlatego, że jeden był Polakiem, a drugi Ukraińcem.

Żyli razem, żenili się między sobą i gościli się wzajemnie na weselach oraz w polskie i ukraińskie święta. Widziałam to i sama chodziłam z dziećmi ukraińskimi kolędować z gwiazdą, wyklejoną kolorowym papierem na przetaku. Najpierw szliśmy do polskich domów, śpiewając „Wśród nocnej ciszy”, a w dwa tygodnie później z tą samą gwiazdą do Ukraińców z inną kolędą:

Tryje cary
de idete,
Idemo do mista,
De Diwa Pereczysta
Syna rodyła.

A teraz z dnia na dzień wszystko się zmieniło i oni właśnie pierwsi mieli stać się ofiarami ukraińsko-polskiej waśni, kładąc głowę pod topór w dosłownym znaczeniu tego słowa. Bo w tej nowej wojnie, która z wolna zbliżała się do nas, niewidoczny front przebiegał między ukraińską i polską chatą. Wrogiem mógł być najlepszy sąsiad, wpuszczony nocą ufnie do domu.

Na koloni Aleksandrów, oddalonej o jakieś 2 kilometry od Armatniowa, w domach opuszczonych po niemieckich osadnikach, zamieszkali Polacy. Jeden z nich w swym murowanym, krytym blachą domu urządził istną warownię. Sam był uzbrojony, a z grubych bali zrobił okiennice i jeszcze mocniej zabezpieczył drzwi. Kiedy przyszli nocą, śpiąca w stodołę bratanica usłyszała znajome głosy: „Józek, otwórz”. A rano znaleziono Józka z żoną z rozplatanymi siekierą głowami, na progu własnego domu. Gdyby tych drzwi nie otworzył, uratowałby się, tak jak pozostała większość Polaków, która doczekała partyzanckiej odsieczy, przeganiającej banderowców ze wsi. Dwoje dzieci – syn i córka ocalały, nocując poza domem u zaprzyjaźnionych Ukraińców. Nie wszyscy przecież byli banderowcami.

Strach, gorzkie uczucie przyjacielskiej zdrady, nieufność, chęć pomszczenia najbliższych to przyzwyczajenie, na której kielkowała nienawiść, jakiej przedtem nie znałam. Początkowo nie dopuszczałam jej do siebie. Żyłam jak gdyby w schizofrenicznym świecie. W dzień po dawnemu, unikając łąk pod lasem, pasłam krowy z moimi ukraińskimi przyjaciółkami. W nocy ukrywałam się przed ich tatusiami i starszymi braćmi. Bo od kwietnia do ucieczki z Armatniowa w czerwcu 1943 ani razu nie spałam we własnym łóżku. Kryjówek było kilka. Pierwszą wymyśliła mama, która co wieczór odprowadzała mnie na nocleg do zaufanego Ukraińca, zamieszkałego we wsi – nomen omen – Zwierów. Mama w ogóle początkowo czuła się pewnie. Wierzyła, że przed napaścią chroni ją immunitet szacunku i sympatii okolicznej ludności. Było w tym dużo racji, ale do czasu. No więc, spałam w nisko sklepionej dusznej chacie, na twardym piecu razem z córeczką gospodarza, moją rówieśnicą Nadią czy Nastką, nie pamiętam już dokładnie. Ciemności izby rozjaśniała tylko lampka oliwna płonąca skąpym blaskiem w kącie przed ikoną. W sąsiedniej tzw. białej izbie zbierali się koledzy starszych braci Nastki – pili ostro samogon, śpiewali ukraińskie pieśni, inne niż te, które dotychczas znałam. Od ich słów ciarki chodziły po grzbiecie. Co pewien czas któryś z nich wchodził do kuchni, gdzie spałam, by z wiadra stojącego tuż przy piecu napić się wody. Wtedy przestawałam oddychać, wyobrażając sobie, co stałoby się, gdyby zajrzał na piec i zobaczył małą, skuloną ze strachu Laszkę, zagrażającą swoim istnieniem „Samostijnej Ukrainie”. Przed północą wychodzili i gdzieś szli. Byłam pewna, że wyprawiali się do polskich wsi „pohulać z Lachami”, ale może się myliłam, może to była tylko bujna wyobraźnia przestraszonego dziecka. Nie miałam ochoty ukrywać się dłużej w takim miejscu. Przestawałam ufać Ukraińcom, wszystkim bez

wyjątku. Klimat tych kilku nocy, spędzonych u skądinąd dobrych ludzi, przetrwał jednak w mej pamięci na długo. Po latach pisałam o tym tak:

Pociemniała ze zgryzoty ikona w
kącicie grzeje malowane dłonie
nad lampką oliwną, pacierzami
odpędza cienie, by kolbami nie
łamały drzwi o północy.

Oni mogli spać spokojnie. Ich drzwi nikt nie wylamywał kolbami. Do czasu! W końcu i do nich przyszła trwoga, kiedy placówki polskiej samoobrony zaczęły robić wypadki odwetowe do najbardziej nacjonalistycznych wsi ukraińskich, stanowiących bazę banderowców. Pożar wojny domowej ogarnął powoli cały Wołyń. W marcu 1943 pojawiły się na niebie za lasem pierwsze łuny. Najpierw bladorożowe jak jutrzienka, wyblakłe, odległe. Później otaczały nas już pierścieniem ze wszystkich stron, coraz bliżej i bliżej, purpurowe, bardziej intensywne niż zachodzące słońce, kiedy zmienia się pogoda i nadciąga silny wiatr. W tym czasie tata, który kontrolował wszystkie moje lektury, dał mi do przeczytania „Ogniem i mieczem”. Nie wiem, czy zrobił to przypadkiem, czy rozmyślnie. Pochłonęłam wszystkie cztery tomy jednym tchem, a potem, siedząc na progu szkoły, patrzyłam nocami na rozżarzone pożarami niebo i widziałam: płonące Rozłogi, rzeź Czehrynia, upadek Baru. Opowieści sienkiewiczowskie w szczególny sposób zinterpretowały mi to, czego byłam aktualnie świadkiem. W nich też znalazłam wreszcie prostą, na miarę dziecięcych wyobrażeń, odpowiedź na dręczące mnie od tygodni pytanie: „Dlaczego?”. Skąd tyle nienawiści, okrucieństwa w spokojnych i wydawało się przyjaznych nam ludziach? Jeśli od wieków wycinają nas w pień, paląc nasze domy – myślałam – to należy się ich wystrzegać, bo są podstępni, kłamliwi i nienawistni. Widocznie mają taką naturę i „czarne podniebienia”. To, że być może nie jesteśmy w tej waśni historycznej bez winy, w ogóle nie przyszło mi do głowy. I tak przeszłość splatała się z teraźniejszością w obraz budzący coraz większą grozę, większą nawet niż pikujące samoloty.

Coziennie szosą jechały wozy z ludźmi cudem uratowanymi z rzezi, z resztką ocalałego dobytku. Komuś całą rodzinę spalono żywcem w płonącej chacie, innemu zabito rodziców, jeszcze ktoś ocalał, ale uciekł w samej bieliźnie, tracąc dorobek całego życia. Padały nazwy nieznanymi mi dotąd, a już nie istniejących wsi polskich: Derażno, Dobra, Dermanka... Pozostałe po nich pogorzeliska znaczyły szlak marszu oddziałów banderowskich, z dnia na dzień przybliżających się do nas niebezpiecznie.

Wielkanoc 1943 spędziliśmy w Kiwercach u państwa Rykowskich, którzy tylko co przeprowadzili się tam z Johanowa. Jak dalece ich decyzja o ucieczce stamtąd była słuszna, przekonał się już w Wielką Niedzielę. Zasiadaliśmy właśnie do stołu świątecznego, kiedy przyszedł ich dawny gajowy i powiedział, że od Wielkiej Soboty Johanów jest zajęty przez duże zgrupowania banderowców. Pewnie przyszli wyprawić, po swojemu, święta, mieszkającym tam Polakom. Choć żal nam było plądrowanego, a może i palonego, właśnie Johanowa, cieszyliśmy się wszyscy, że państwo Rykowscy i pozostali Polacy zdążyli w porę wyjechać.

Dopiero po powrocie do domu dowiedzieliśmy się przerażeni, że raniutko w Wielką Niedzielę trzech chłopów z Armatniowa wybrało się do Johanowa po pozostawione tam przez znajomych bez opieki, króliki. Mijał dzień za dniem, a chłopcy nie wracali. Nadzieja, że w ostatniej chwili zmienili plany i balią gdzieś w sąsiedniej wsi, rozwiła się ostatecznie, kiedy junacy z Baudienstu znaleźli w lesie niebieską opaskę Adasia, jako pracownika kolei. Było już pewne, że byli w Johanowie, a jeśli do tej pory nie wrócili, to znaczy, że nie żyją. Teraz na wpół oszalałym z rozpacz rodziny chodziło tylko o odnalezienie ciała i godne ich pochowanie. Z pomocą przyszedł p. Zielke, szef Baudienstu, Niemiec z poznańskiego, bardzo Polakom życzliwy i uczynny. Pod wzmocnioną ochroną pracujący przy zwózce drewna junacy pojechali do Johanowa. W pałacu hr. Jezierskiego znaleźli zakrwawione dokumenty dziewięciu Polaków – w rym także poszukiwanych mężczyzn z Armatniowa. Dokumenty były w dziewięciu różnych pokojach, co oznaczało, że każdy z zamordowanych był torturowany oddzielnie przez osobną grupę. Poszukiwania trwały, czas mijał, a ciała nie było. W końcu jeden z junaków zauważył, że w nieczynnej przedtem smolarni tli się ogień. Zaintrygowany dźgnął bagnietem w dymiące wysypisko węgla drzewnego i tak ich znaleźli – wszystkich dziewięciu.

Ciała przywieziono furmanką zaprzęzoną w dwa konie. Od lasu szedł, trzymając się luźni wozu, kompletnie osiwiwały w tych dniach pan Mrozicki, ojciec Adasia. Widząc nas obie z mamą wybiegające ze szkoły, powiedział: „Nie ma już Adasia, pani kierowniczo”. Zaniósł się płaczem, a my płakałyśmy razem z nim. Pan Mrozicki miał trzy córki, Adaś był jego jedynym synem, lubiliśmy go wszyscy, miał tylko 17 lat, był zdrowy i zginął tak bestialsko zamęczony.

Wieczorem w domu Edka, gdzie w stodole leżeli obaj, okrutnie przed śmiercią okaleczeni chłopcy, zebrali się wszyscy Polacy, aby zgodnie z obyczajem odmówić różaniec w intencji zmarłych. Modliłam się za dusze Adasia i Edka, prosząc Boga, aby im wybaczył, że w Wielką Niedzielę, zamiast na Rezu-

rekcję do kościoła, poszli do Johanowa ratować głodne króliki. I myślałam o nich każdego wieczora, kiedy odmawiałam specjalną wojenną modlitwę, której nauczyła mnie ciocia Hania.

A kiedy przyjdzie
Ostatnia godzina,
Uproś nam łaski
U Swojego Syna
I żał za grzech
Bez zmyty poczęta,
Panienko Święta.
A ci, którzy już
Dni swoje skończyli
I tak straszny termin odprawili,
Niech mają spokój,
Spokój pożądanym,
Jezu Kochany.

Po śmierci chłopców ta modlitwa stała się dla mnie przeraźliwie dosłowna. Nigdy przedtem ani potem nie modliłam się z taką żarliwością i zrozumieniem wypowiedzianych słów. Ich śmierć przekonała także rodziców, iż dalsze przebywanie w Armatniowie jest lekkomyślnym kuszeniem losu i że trzeba jak najprędzej uciekać, choć nie bardzo wiadomo, dokąd. Możliwości były właściwie tylko dwie: przepełniony do granic możliwości Łuck i placówka samoobrony w Przebrażu, położonym wśród lasów koło Kiwerc.

Tata optował za Przebrażem – jako wojskowy byłby tam przydatny. Mama natomiast słysząc o Przebrażu nie chciała. Uważała, że wyjazd tam, to przysłowiowa ucieczka z deszczu pod rynnę. Nie wierzyła w szansę przetrwania tego nowego polskiego „Zbaraża”. Była pewna, że placówka ta prędzej czy później padnie, a jej obrońcy wycięci zostaną w pień. Myliła się, bo Przebraże, odpierając wszystkie ataki banderowców, utrzymywało się do przyścia wojsk radzieckich. Mamę odstraszały też wojenne prymitywne warunki bytowania w tym warownym obozie wśród lasów. Łuck był – jej zdaniem – znacznie pewniejszy jako schronienie. Przede wszystkim było to miasto, w którym stacjonowały wojska niemieckie, a takich miejscowości banderowcy nigdy nie atakowali. Łuck stwarzał też możliwości dalszego naszego kształcenia – prywatnego lub na tajnych kompletach. Mama bardzo bolała, że rosnę jak przydrożny chwast, coraz bardziej zatracając cechy dobrze wychowanej panienci. Życie na pastwisku robiło swoje. Przed wojną miała bardzo ambitne plany oddania mnie do najlepszego zakładu kształcenia dla dziewcząt, prowadzonego przez zakonnice we Lwowie. Było to drogie przedsięwzięcie, więc już od mego urodzenia ciułała na ten cel pieniądze, systematycznie na premiiowaną książeczkę odkładając z chudej pensyjki nauczycielki wiejskiej po 7 złotych miesięcznie. Do dziś ze wzruszeniem przechowuję tę książeczkę, której wartość w 1939 wynosiła już prawie 700 złotych. Wojna pokrzyżowała plany, co mnie wcale nie zmartwiło, ale mama była niepocieszona, zwłaszcza że na jej oczach zmieniałam się powoli w wiejskiego oberwańca.

Wielogodzinne dyskusje rodziców w końcu rozstrzygnął przypadek – w Łucku pojawiła się możliwość uzyskania mieszkania po jakiejś znajomej, wyjeżdżającej do Generalnej Guberni. Wymagało to pieniędzy na odstępną, wielu starań, znajomości w urzędach, łapówek no i czasu na załatwienie wszystkich formalności. Mama z ojcem coraz częściej jeździli w tej sprawie do Łucka, a na razie ciągle tkwiłszy na wsi, choć było coraz bardziej gorąco.

Pod koniec pobytu w Armatniowie dowiedzieliśmy się o tragedii w pobliskiej wsi Kopcze. Była to czeska wieś, która żyła sobie spokojnie, bo Ukraińcy, nie wiem czemu, Czechów tolerowali. Mieszkało tam zaprzyjaźnione z rodzicami nauczycielskie małżeństwo, Ela i Karol Tarabowie z trojgiem małych dzieci. Pani Ela była Polką, ale jako żona Czecha czuła się w Kopczech bezpiecznie. Jak się okazało – niesłusznie. Wypatrzyli ją i tam. Ileż trzeba mieć w sobie zawziętości i nieprzytomnej nienawiści, aby przyjść do wsi po jedną, bezbronną kobietę, tylko dlatego, że jest Polką, próbować zabrać ją z domu z trojgiem dzieci, oferując łaskawie mężowi wolność i życie. Ponieważ pan Karol z oferty nie skorzystał, zabito go pierwszego. Dzieci zamęczono na oczach pani Eli, którą na końcu zgwałcono i zabito. Znajomy Czech, który moją mamę o tym bestialskim wydarzeniu poinformował, znał nazwiska oprawców. Obiecał, że po wojnie je ujawni, ale nie wiem, czy to zrobił.

Długo płakałam po śmierci Tarabów, lubiłam ich dom czysty, zadbane, serdecznie gościnny, ich synów Wiesia i Romka. Najbardziej żał było mi jednak małej, zaledwie trzyletniej Bogusi. Czy dla wyzwolenia Ukrainy, dla jej niepodległości potrzebna była męczeńska śmierć Tarabów i ich dzieci?

Czekając na przeprowadzkę do Łucka, ukrywaliśmy się co noc w schowku, jaki wymyślił ojciec zaraz po tym, jak kategorycznie odmówiłam nocowania w ukraińskiej chacie w Zwierowie. Szkoła miała dwa strychy, obydwie z wejściem były wszystkim bardzo dobrze znane. Nad mansardą był jeszcze jeden,

nieużywany stryszek, do którego tata wyciął w suficie dobrze zamaskowany właz – jak do czołgu. Tam przenieśliśmy pościel i spaliśmy co noc. Ciocia Hania stanowczo odmówiła jakiegokolwiek ukrywania się. Wierzyła w przeznaczenie i Bożą Opatrzność. Zresztą po ukraińsku mówiła biegle, była czarnooka i śniada, więc postanowiła udawać Ukrainkę, która tylko u nas pracuje. Nikt jej przedtem nie znał, więc ta mistyfikacja mogła się udać. To, że zwracaliśmy się do niej „ciociu”, nie musiało świadczyć o pokrewieństwie. Był to zwrot na wsi ukraińskiej dość powszechny i świadczył tylko o sympatii i bliskości.

Więc koczowaliśmy na naszym stryszku tylko we troje, czułam się tam znacznie bezpieczniej niż w Zwierowie, ale i tak się bałam. Ciągłe nadśluchiwałam szczekania psów, skrzypienia wozów na drodze. Ciągłe wydawało mi się, że już po nas idą. Uspokoiliam się dopiero, kiedy tata pokazał mi rewolwer i powiedział: „Nie bój się. Będziemy się bronić. Jesteśmy uzbrojeni. Szkoła jest murowana, nikt jej nie spali. Kolej jest blisko to nam Węgrzy pomogą”.

Byłam już matką dwuletniego synka, jak kiedyś przy wigilijnym stole zaczęliśmy wspominać Wołyń. Przypomniałam tacie, jaka czułam się przy nim bezpieczna od czasu, kiedy zobaczyłam, że jest uzbrojony. Wtedy tata powiedział: „Jak to dobrze, że nie wiedziałaś, że w tym rewolwerze miałem tylko trzy kule: dla ciebie, matki i siebie, gdyby nas na tym strychu wykryto”.

Pod koniec pobytu w Armatniowie rodzice wszystkich polskich dzieci urządzili dla nas spanie w jednym z budynków stacji, oddając pośrednio pod opiekę pilnujących torów Węgrów. W nowej kryjówce było wesoło jak na pikniku. Długo po wyjeździe stamtąd brakowało mi tych naszych wieczornych pogaduszek.

Sprawa mieszkania wreszcie finalizowała się pomyślnie. W czerwcu, w wigilię Bożego Ciała, wybraliśmy się w trójkę do Łucka, aby załatwić ostatnie formalności przed przeprowadzką. Jechaliśmy z konwojem Baudienstu, złożonym z dwóch krytych brezentem ciężarówek, wiozących deski. W pierwszej jechał dowódca Baudienstu, nieoceniony pan Zielke, o którym już wcześniej wspominałam. Drugą ciężarówkę, tę, w której pod budą jechaliśmy my, prowadził młody junak, z pochodzenia Ukrainiec. Wyruszyliśmy koło południa. Po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że ciężarówka skręciła w polną drogę, prowadzącą do jednej z najbardziej nacjonalistycznych wsi, jej nazwy nie pamiętam. Marianówka? Antonówka? Nie wiem. Wpadliśmy w popłoch, nie wiedzieliśmy, co się dzieje, gdzie i po co jedziemy? Ojciec był pewny, że to pułapka i ukraiński kierowca wiezie nas do swoich. Tata od pewnego czasu obawiał się uprowadzenia. Jechał właśnie do Łucka, by zameldować przełożonym, że otrzymał zaproszenie do rozmów z dowództwem UPA z naszego okręgu. Wykreślił się od tych negocjacji pod pretekstem braku zgody własnego kierownictwa. Teraz był przekonany, że wiozą nas na te rozmowy i że żywi z tego nie wyjdziemy. Po przejechaniu około 2 kilometrów auto wreszcie się zatrzymało. Wysiedliśmy na dużym, czystym podwórku jakiegoś dostatniego gospodarstwa. Stały tam już dwa zaprzężone w konie wozy, na które zapłakane kobiety ładowały wynoszone z chaty toboły. Okazało się, że wstąpiliśmy do wsi po rodziców naszego kierowcy. Było to małżeństwo mieszane, jakich w naszych stronach nie brakowało. Ojciec – Ukrainiec otrzymał od banderowców rozkaz pozbycia się swej niesłusznej żony – Polki, bo inaczej zginie razem z nią i dziećmi. Widocznie na żonie bardziej mu zależało niż na „Samistijnej Ukrainie”, bo postanowił uciec ze wsi, prosząc syna o ochronę. My właśnie przyjechaliśmy po to, aby wywieźć ich bezpiecznie z tej zakazanej wsi. No, ale strachu najedliśmy się przy tym niemało.

Czekaliśmy niecierpliwie, aż gospodarze załadują wozy, bacznie rozglądając się wkoło. Sceneria była niesamowita. Gdzieś w pobliżu słychać było karabiny maszynowe. Niemcy pacyfikowali sąsiednią ukraińską wieś. Nadciągała burza z ulewnym deszczem i piorunami. Jakby tego było mało, na podwórku rozpętało się dantejskie piekło. Junacy na prośbę gospodarza seriami wybijali domowe ptactwo. Indyki, perliczki, gęsi, kaczkę, kury padały pokotem. Przerażliwy jazgot dziesiątkowanego ptactwa, huk piorunów, grzechot karabinów maszynowych w połączeniu ze strzelaniną na podwórku ogłuszyły mnie kompletnie. Półprzytomna ze strachu, skulona siedziałam na wysokim progu chaty, marząc tym, aby jak najszybciej znaleźć się już w Łucku. I w dodatku wcale nie byłam pewna, czy kiedykolwiek tam dotrzemy, czy pozwolą nam z tej wsi wyjechać.

Wreszcie załadunek się skończył i byliśmy gotowi do drogi. Usłyszałam, jak Zielke wydaje rozkazy junakom: „Jedziemy kolumną ubezpieczającą. Wozy między ciężarówkami. Jeśli nas zaatakują, zatrzymujemy się i bronimy, czekając na pomoc. Niedaleko jest szosa, a ja mam raketnicę. Utrzymamy się. A wozów zostawić nie możemy, bo to są rodzice waszego kolegi”. Dygocąc ze strachu, wpakowałam się pod budę ciężarówki, wcisnęłam między rodziców. Ruszyliśmy drogą gospodarczą, dojazdową do głównej ulicy wsi. Nie zdążyliśmy jeszcze wyjść zza zakrętu, jak posypały się na nas strzały. Błyskawicznie przez szparę między plandeką a skrzynią ciężarówki zsunęłam się pod osłonę koła na ziemię i sturlałam do przydrożnego rowu. Odpełzałam za zakręt i obejrzałam się. Rodziców w pobliżu nie było. Zostali przy wozach. Zobaczyłam przebiegających przez drogę cywilów z automatami w ręku. Banderowcy! Postanowiłam uciekać dalej, do szosy. Zielke mówił, że stamtąd przyjdzie pomoc. Zaczęłam biec, ale zobaczyłam ludzi przy płotach mijanych chałup. Zrozumiałam, że jeśli chcę przez taką

wieś przejść żywa, muszę iść spokojnie, tak jakby to, co się dzieje, mnie nie obchodziło. Nie miałam jeszcze dwunastu lat, ale dziecko wojny szybko uczyło się przebiegłości niezbędnej do przeżycia.

Byłam już przy ostatnich chałupach, kiedy zaczęła mnie stojąca przy płocie w wyszywanej (a jakże!) bluzce młoda kobieta, przyglądając mi się jednocześnie podejrzliwie. „A witki, ty, detyno idesz? Czyja ty?”. Powiedziałam, że przyjechałam z Łucka, szukam cioci, ale pomyliłam wsie i wracam do domu. Rzeczywiście, tych Antonówek było w okolicy kilka, więc moje tłumaczenie wyglądało prawdopodobnie. „A chto tam stulaje? Nasi czy Nimci?”, nie ustawała w przepytывaniu mnie nieznajoma. „Ne znaju – powiedziałam – ja ne baczyła, to tam dałeko”. I zaraz dla uspienia jej czujności zapytałam, czy mogę napić się wody, bo straszny żar. Uspokojona wyniosła mi wody w mosiężnej, zrobionej z łuski pocisku kwarcie. „Chyba nie kupiła jej u taty w warsztacie, nie może mnie rozpoznać” – pomyślałam. Do dziś pamiętam metaliczny smak tego kubka i słyszę, jak moje nieszczerne zęby z przerażeniem wystukują na jego krawędzi jakąś dziką melodię. Niedaleko szosy dogoniły mnie ciężarówki z rodzicami. Dostało mi się porządnie za samowolę i oddalenie na własną rękę od konwoju, po czym bez przeszkód dojechaliśmy do Łucka.

A na wiejskiej drodze podczas ataku banderowców było tak. Tata i Zielke leżeli pod samochodem. Zielke strzelał z automatu, u pasa miał „parabelkę”, a tata bez broni przyglądał się bezradnie atakowi. „Panie Zielke – powiedział – niech mi pan da parabelkę, jestem wojskowy, umiem strzelać”.

– Leżeć! – warknął grzeczny zazwyczaj Zielke – i wycelował automat w stronę taty. Już po wszystkim byłam świadkiem ich rozmowy.

– Panie Zielke – powiedział tata – czy pan zwariował? Czemu mierzył pan do mnie z automatu. Chciałem pomóc, przecież obaj byliśmy w jednakowym niebezpieczeństwie.

– Panie Mieczysławie – powiedział Zielke – pan jesteś Polak, ja Niemiec. Jest wojna. Skąd mam wiedzieć do cholery, w którą stronę będziesz pan strzelał?

I to była święta prawda, bo polskie karabiny na Wołyniu rzeczywiście strzelały w wielu kierunkach.

Pierwsze zetknięcie z uzbrojonymi banderowcami przyspieszyło naszą przeprowadzkę, tym bardziej że wreszcie uzyskaliśmy własny kąt – pokój z dużą, ale ślepą kuchnią. Było to mieszkanie zbyt małe dla naszej czteroosobowej rodziny, mieściło się jednak w centrum, a nie na dość niebezpiecznych przedmieściach miasta, za rogatkami, gdzie zatrzymywała się większość uciekinierów z polskich wsi. Mimo że mieszkaliśmy w śródmieściu, tuż za naszą ulicą rozciągały się błonia, aż do Styru. Za rzeką, naprzeciwko nas, była banderowska wieś Rowańce, a więc znów niepokojące sąsiedztwo. Pomyśleliśmy o tym dopiero zimą, kiedy Styr zamarzał i dokonano napadu na przedmieście Łucka – Barbarówkę. Na razie jednak nic nie mogło zmącić naszej radości z faktu posiadania mieszkania, które umożliwiło nam wyniesienie się z Armatniowa. Po śmierci Eli Tarabowej mama przekonała się wreszcie, że ona może zginąć podobnie zamęczona i bardzo śpieszyła się z przeprowadzką. Wyjechali więc niezwłocznie oboje do Armatniowa na 3-4 dni, aby spakować rzeczy, załatwić transport i przenieść się do Łucka. Ja zostałam u nauczycielki, koleżanki mamy, pani Heleny, bezdzietnej rozwódki zajmującej z matką przestronne mieszkanie w śródmieściu, dwie przecznice od naszego przyszłego nowego lokum.

Tak więc opuściłam Armatniów niespodziewanie dla samej siebie, nie żegnając się z nikim i co dziwne, za nikim nie tęskniąc. Żal mi było tylko szosy – mego okna na świat.

Armatniowska szosa! Biegaliśmy tam codziennie. Jej zarośla były naszą kryjówką, wysokie nasypy – amfiteatrem, z którego bezpiecznie oglądaliśmy wszystkie, kolejne odsłony wojennego spektaklu. Siadając na jej nasypie, widziałam wrześnieją klęskę 1939 roku i kolejny rozbiór Polski. Nasza szosa, nie wiem czemu, była szosą elitarną. Nie tłoczyło się na niej wojsko w odwrocie i ciżby pieszych uchodźców. Jechały nią tylko czarne, lśniące niklem auta rządowe, a ja nie mogłam zrozumieć, dlaczego oni wszyscy uciekają, skoro żołnierze jeszcze walczą?

Tą szosą ciągnęły także czołgi z czerwoną gwiazdą, niewykluczone, że te same, które porzucone w 1941 roku na poboczach dróg, służyły nam jeszcze długo do zabawy w wojnę. I szły potem nie kończące się kolumny zabiedzonych jeńców, świadczące o rozmiarach klęski Armii Czerwonej.

A jeszcze później jechały nią, szukając schronienia w Łucku, wozy pełne uchodźców ze spalonych przez banderowców wsi polskich. Opowieści ocalonych z rzezi uświadamiały nam pełną grozę toczącej się wokół wojny domowej. Czekałam i wierzyłam w to mocno, że kiedyś zobaczę uciekających nią Niemców. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że najpierw sama chyłkiem wyjadę z Armatniowa moją ukochaną szosą na zawsze.

Cieszyłam się z pobytu w Łucku. Od moich ostatnich w 1940 roku wakacji mieszkalam bez przerwy na wsi. Nie było żadnych wygod: kanalizacji, elektryczności i miejskich rozrywek. Tu było wszystko. Pani Helena, przynajmniej przez pierwsze dni, opiekowała się mną serdecznie. Pokazała mi Łuck, park, piękną Katedrę. Zaprowadziła na katechezę do księdza Bukowińskiego. Był to kapłan wspaniały, człowiek o ujmującym sposobie bycia, milej powierzchowności, nie pozbawiony poczucia humoru. Polubiłam go od razu, toteż z prawdziwą przyjemnością pomagałam pani Helenie upiec dla niego urodzinowy tort „migdałowy” – oczywiście, z fasoli. Bardzo byliśmy przygnębione, kiedy po ponownym

wkroczeniu wojsk radzieckich NKWD aresztowało go i wywiozło do Kazachstanu, gdzie został kapłanem wszystkich polskich zesłańców.

Najbardziej lubiłam chodzić do parku. Przypominał mi trochę stryjską „kolejówkę”, ale był od niej oczywiście brzydszy. Dla mnie, wychowanej na wsi, w bliskości lasu, te parę starych drzew było jego namiastką. Bo lasu brakowało mi prawie tak samo jak szosy.

Ani się obejrzałam, jak minął tydzień, a po rodzicach słuch wszelki zaginął. Mieli wrócić za trzy, cztery dni, a tu już drugi tydzień dobiegał końca, my zaś wciąż nie mieliśmy od nich żadnej wiadomości. Przychodziły mi do głowy myśli najczarniejsze. To dręczące wyczekiwanie zabiło całą radość z pierwszych dni pobytu w wielkim, jak mi się wówczas wydawało, mieście. Co dzień biegałam daleko, aż na krańce miasta do rogatki, zobaczyć czy nie jadą, szukać znajomych, którzy mogliby o czymś mnie poinformować, pytać, czy czegoś nie widzieli. Byłam chora ze zmartwienia, w nocy płakałam do poduszki, tak aby nikt o tym się nie dowiedział. Bo pani Helena zmieniła się bardzo i coraz głośniej wyrzekała na „lekkomyślne kobiety, które zostawiają na cudzej głowie własne dziecko”. Cóż ona mogła wiedzieć o miłości matki, ratującej od śmierci przede wszystkim własne dziecko. Staralam się zejść jej z oczu, byłam cicha jak myszka. I zgnębiona do granic wytrzymałości stale myślałam: „Gdzie oni są? Co się z nimi stało?”. Nie dopuszczałam do siebie najgorszego, ale bałam się, że nigdy już ich nie zobaczę. A w domu pani Heleny byłam coraz bardziej „cudzym dzieckiem” i coraz lepiej rozumiałam, co to znaczy „gorzki sierocy chleb”.

Kiedy już prawie straciłam nadzieję na powrót rodziców – przyjechali cali i zdrowi. Przywieźli ze sobą pierwszą turę rzeczy z Armatniowa. Cóż była za radość, płakałam ze szczęścia, tak jakby razem z tymi łzami chciała wylać całą nagromadzoną we mnie przez długie trzy tygodnie rozpacz i gorycz opuszczonego dziecka. Pani Helena znów poweseląła, wróciła jej dawna serdeczność, ale ja nie mogłam zapomnieć, że w najtrudniejszych dla mnie chwilach nie chciała, czy nie umiała, mnie pocieszyć. A jeszcze, jak mama powiedziała mi, że odjeżdżając uprzedziła ją, że może zginąć i zostawiła jej pieniądze, resztę biżuterii oraz adresy rodziny, która po wojnie zaopiekuje się mną – znieubiłam ją zupełnie. Nigdy jej nie przebaczyłam tego narzekania na rzekomą lekkomyślność mojej mamy, podczas gdy była to tylko podyktowana macierzyńską miłością przeczność.

Długa nieobecność rodziców spowodowana była blokadą szosy. Po prostu byli odcięci od Łucka, bo Niemcy dokonywali pacyfikacji okolicznych wsi za napad na konwój Baudienstu. Widocznie p. Zielke nie mógł zapomnieć banderowcom strachu, jakiego się najadł, leżąc z moim tatą pod ciężarówką. Następnego dnia po przyjeździe rodzice musieli niestety znów wyjechać do Armatniowa, tyle że tym razem wrócili tego samego dnia. Trzeci wypad postanowili na parę dni odłożyć, choć zostało tam jeszcze wiele cennego dobytku, zwłaszcza księgozbiór ojca. Tata trzymał swoje książki w dębowej bibliotece przerobionej z wielkiego, ciężkiego kufra. Podczas drugiego wyjazdu zapomniał wziąć ze sobą kluczy, a nie mógł zdecydować się na odrąbanie drzwi, co radziła mu mama. Kufer był dla niego żołnierską pamiątką i choć był brzydki jak jesienna szaruga, żał mu było go zniszczyć, tym bardziej że następnego dnia i tak planował jeszcze jeden przyjazd.

Tymczasem od swoich przełożonych tata otrzymał ostrzeżenie, żeby nie pokazywał się w okolicach Armatniowa, bo go zdekonspirowano. Miało to związek z przyniesionym przez dwóch obcych Ukraińców zaproszeniem do rozmów z UPA. Jednocześnie do mamy przyszedł, ryzykując zapewne życiem, gospodarz ze Zwierowa, żeby ją ostrzec. Był to ten sam zaufany ukraiński chłop, który przez kilka nocy ukrywał mnie w swojej chacie.

– Pani, uciekajcie – powiedział. My was już dłużej nie damy rady ochraniać. Swoi wam nic nie zrobią. Wyście ich czytać i pisać uczyli, ale przyjdą obcy... Mimo że mama po swojemu uparcie uważała, że alarm jest fałszywy, że to nie ostrzeżenie, tylko po prostu rada człowieka przestraszonego tym, co się dzieje, na wszelki wypadek zdecydowała się wyjazd odłożyć. W dwa dni później dostaliśmy wiadomość, że przyszli po nas nocą, a że nikogo nie zastali, to spalili szkołę. Spłonął kufer taty, a w nim jego cenne książki. Spłonął też nasz, rzekomo bezpieczny, stryżek, na którym tyle nocy ukrywaliśmy się. Nie wiedzieliśmy, czy spaliły się również inne nasze rzeczy, czy też ktoś z sąsiadów zdążył je zabrać. Urwały się nasze kontakty z Armatniowem, bo każda próba wyjazdu poza Łuck była czystym szaleństwem. W tym czasie banderowcy panoszyli się w terenie już jawnie i mordowali ludzi w biały dzień. Straciło życie wiele osób, przeważnie kobiety, które wyprawały się do okolicznych wsi po żywność. Nie było dnia, aby Styrem nie płynęły trupy pomordowanych, czasem z bochenkiem chleba na piersiach.

Powoli urządziliśmy się w nowym, małym mieszkanku, upychając po kątach wszystko to, co udało się wywieźć z Armatniowa. Było ciasno, ale mnie to nie przeszkadzało. Nareszcie odetchnęłam, pozbyłam się mdlącego strachu, jaki nękał mnie od kilku miesięcy. Co to za rozkosz spać znowu we własnym łóżku, w dodatku spać spokojnym, głębokim snem, a nie jak zając pod miedzą, nasłuchujący szczekania psów, w każdej chwili gotowy do ucieczki. Rozkoszowałam się spokojem, a nie wiedziałam, że to tylko chwilowa ulga, bo zepchnięta na dno pamięci groza tamtych wołyńskich nocy powracać będzie do mnie kosmatym, dławiącym lekiem przez długie, długie lata. Przypomni mi ją czasem luna

słońca zachodzącego krwistą czerwienią, kiedy indziej odległe szczekanie psów we wsi albo chybotliwe cienie gałęzi drzew w sadzie, oświetlone blaskiem księżyca.

Minęło ponad ćwierć wieku od moich wołyńskich przeżyć. Spędziłam właśnie z siedemnastoletnim synem pierwsze nasze wakacje w nowo wybudowanym, letnim domu. Była to typowa „chata za wsią”, oddalona od najbliższych zabudowań wiejskich o jakieś 500 metrów, położona na skraju lasu, przechodzącego w malownicze, porośnięte jałowcem łąki. Dziś jest tam już małe osiedle letniskowe, ale wtedy nasza chatka była w lesie jedyna. Nie bałam się ciemności, lasu, osamotnienia – harcerstwo, jeszcze to „puszczańskie”, dawno mnie z tego wyleczyło. A mimo to co noc umierałam z przerażenia, słysząc dalekie, a przybliżające się do wsi ujadanie psów. Wróciły do mnie tamte noce pełne strachu i teraz całkowicie przecież bezpieczna, znów dygotałam. Wstawałam, wychodziłam na próg chaty, na skraj lasu, nadsluchiwałam. I żadne racjonalne argumenty pokonały, wypędzić ze mnie tego bezrozumnego lęku nie zdołały. Nie mogły przerwać mojego nocnego czuwania, które kończyło się dopiero o porannej szarówce. Myślę, że tak właśnie w armatniowskie noce czuwała, bojąc się o swoje śpiące dziecko, moja mama.

Po paru dniach pobytu w Łucku rodzice zaczęli rozglądać się za jakimś źródłem zarobków i pracą, która dawałaby tzw. dobre papiery, chroniące w czasie łapanki do Niemiec na roboty. Ojciec zatrudnił się w niemieckich warsztatach rzemieślniczych jako zegarmistrz, ale jego płaca, przy szalejącej drożyznie, nie mogła zapewnić utrzymania naszej czteroosobowej rodzinie. Powoli kończyły się przywiezione z Armatniowa zapasy. Sytuację trochę ratowała krowa, którą mieliśmy jeszcze jakiś czas w Łucku. Mimo że żywiła nas, w końcu musieliśmy jednak oddać ją prawowitemu właścicielowi, bo trzymana w komórce z podłogą zaczęła chorować na racice. Topniały także oszczędności, tym bardziej że większość ich poszła na koszty uzyskania mieszkania. Kiedy usłyszałam, że na zakup chleba wystarczy nam pieniędzy jeszcze tylko na kilka dni, niewiele myśląc zapakowałam do torby wszystkie swoje ukochane zabawki z piękną „śpiącą lalką” na czele, wyniosłam na bazar i sprzedałam. Pamiętam, że zarobiłam 100 okupacyjnych „karbowanów”, ale nie wiem już, jaką wartość miała wtedy ta suma. Kiedy z triumfem przyniosłam ten zarobek do domu, mama wpadła w popłoch: „Skąd to masz?”, „Komu zabrałaś?”. Rozplakałam się z wielkiej obrazy i wykrzyczałam: „Nikomui nie ukradłam, sprzedałam swoje zabawki, zobacz – nie mam ani jednej!”. Wtedy rozplakała się mama. W jednej chwili poczułam się dorosła, choć nie ukończyłam jeszcze dwunastu lat. Przy pierwszej okazji mama powiedziała nie bez dumy swoim znajomym o tym wydarzeniu. Wtedy jedna z jej koleżanek zaproponowała, abym i jej pomogła sprzedać resztę kapeluszy, jakie zostały po likwidacji sklepu. Było tych kapeluszy dwanaście; jeden ładniejszy od drugiego. Zapakowałam wszystkie do torby, ale tym razem na bazar poszła ze mną moja mama. Towar był przecież cudzą własnością, a ja w gruncie rzeczy tylko małą, chuderławą dziewczynką, której każdy mógł z łatwością odebrać cały majątek.

I tak jak w okupacyjnej piosence „Teraz jest wojna i kto handluje, ten żyje” rozpoczęła się nasza: mamy i moja wojenna kariera handlarek. Codziennie rano, obciążone torbami, ustawiałyśmy się obie pod ogrodzeniem bazaru, mając za sąsiedztwo panie z towarzyskiej elity Łucka. Sprzedawałyśmy co się da: eleganckie sukienki mamy, moje „wyrośnięte” ubrania, niepotrzebne rzeczy własne i cudze. Brałyśmy je w komis od ludzi, którzy sami nie potrafili bądź wstydzieli się w taki sposób zarabiać na utrzymanie. No i wreszcie mieliśmy w domu jakieś większe pieniądze. Nie były to oszałamiająco wysokie sumy, ale na znośne przeżycie wystarczyło.

W końcu trafiła się nam niecodzienna okazja. Znajoma mamy, pracująca w niemieckich magazynach z różnymi, luksusowymi jak na owe czasy, artykułami, zaproponowała nam sprzedaż wynoszonych przez nią stamtąd towarów – głównie pięknych, rogowych grzebieni i bardzo poszukiwanej gumki do majtek. Chyba miała jakieś układy z niemieckimi wachmanami, bo nigdy przy tym nie wpadła. To było „bingo”! Złoty interes, który rozkręcał się po spirali. Może to wydawać się dziś naganne, ale zupełnie nie miałyśmy wyrzutów sumienia, że, jakby nie było, trudnimy się paserstwem. Po prostu odbierałyśmy Niemcom znikomą część tego, co nam się należało jako odszkodowanie za pozbawienie nas nieomalże wszystkich środków niezbędnych do życia. W handlu, tym chodliwym, bo deficytowym towarem, uczestniczyło coraz więcej bazarowych sprzedawców, a ja awansowałam z pomocnika mamy na hurtowego dostawcę zaopatrującego wszystkie sąsiednie stragany. Niepozorna, z mysimi ogonkami, z plecaczkiem, przechodziłam bez przeszkód przez wszystkie blokady bazaru i organizowane tam łapanki. Byłam taka mała, że nikomu nigdy nie przyszło do głowy zajrzeć do plecaka i sprawdzić, co ja tam niosę. Teraz zaczęło nam się naprawdę dobrze powodzić, można było nawet odłożyć trochę grosza na czarną godzinę, o którą w wojenny czas było przecież tak łatwo.

Handlowanie z mamą na bazarze było moim najbardziej ekscytującym zajęciem. Inne obowiązki podobowały mi się znacznie mniej, bo po przyjeździe do Łucka rodzice wzięli się ostro za moje, zaniedbane na wsi, wychowanie. Musiałam bardziej dbać o wygląd zewnętrzny: być czysta, schludnie ubrana i obuta. Niby nic strasznego, ale dla mnie, przyzwyczajonej do dzikiej swobody, łączenia po drzewach, biegania na bosaka od pierwszych do ostatnich ciepłych dni – białe skarpetki i buciki były istną torturą. Próbowałam ten nakaz obchodzić przy każdej okazji. Często, zaraz po wyjściu z domu, upychałam

gdzieś w krzakach buty ze skarpetkami. Tylko na bazar do mamy musiałam przychodzić zawsze w tych nieszczęsnych białych skarpetkach, aby nie musiała wstydzić się mnie przed handlującymi tam paniami z eleganckiego towarzystwa. Rozumiałam to, więc zawsze przed wejściem na bazar poślinionym palcem myłam powierzchownie nogi, po czym wyciągałam z plecaka znienawidzone skarpetki i buty. Dopiero tak ubrana mogłam pokazać się mamie. I tylko ciocia Hania wciąż łamała sobie głowę, dlaczego moje skarpetki są najbardziej zabrudzone po wewnętrznej stronie.

Zabrano się także za moją fryzurę składającą się z 4 warkoczyków, z których dwa górne, zawsze rozplecione, spadały mi najczęściej na oczy. Nic nie pomogło smarowanie włosów kiszonym barszczem, po którym miałam na głowie sztywne, zlepione strąki. Wychodziłam z domu porządnie uczesana, a po całym dniu zabawy, przedzierania się przez tunele w zaroślach, wracałam rozczochrana jak strach na Wróble. W końcu, ku mojej zupełnie zbytecznej rozpaczy, obcięto mi te mysie ogony. I doprawdy nie było czego żałować.

Zagoniono mnie też do nauki. Matematyki uczył mnie tata, a polskiego, francuskiego i gry na pianinie pani Helena Cielecka. Pochodząca z arystokracji p. Helena była kobietą dobrą, delikatną i wyrozumiałą. Niejako nadprogramowo dbała ona także o moje maniery, bo pasowały one bardziej do pastwiska niż do salonu. Robiła to taktownie, toteż bez sprzeciwu poddawałam się jej łagodnemu ociosywaniu. Lubiałam ją z wzajemnością. Utrzymywałyśmy więc ze sobą kontakty korespondencyjne przez długie lata, już po wyjeździe z Wołynia.

Nauka gry na pianinie była zmorą mojego dzieciństwa. Jeszcze kiedy lekcji udzielała pani Helena, bawiło mnie to. Byłam nawet dumna, że potrafię zagrać coś koleżankom do tańca. Później jednak, po wkroczeniu wojsk radzieckich, kiedy zapisano mnie do szkoły muzycznej, zaczęła się prawdziwa udręka. Wpadłam w łapy (bo trudno to inaczej nazwać) najlepszego w tej szkole nauczyciela muzyki. Po prostu wybrał mnie sobie po przesłuchaniu, bo miał taki przywilej jako dyrektor, a zarazem dyrygent orkiestry kameralnej teatru w Łucku. Może byłoby to nawet korzystne, gdyby nie był takim wybuchowym nerwusem. Ubzdurał sobie, że zrobi ze mnie artystkę, bo mam idealne dłonie pianistki i doskonały słuch. Niestety, wiedziałam dobrze, że są to moje jedyne predyspozycje, gdy tymczasem on, zupełnie nieświadomy tego, z jakim beztalenciem ma do czynienia, zadawał mi niewiarygodnie dużo ćwiczeń do domu, chcąc rozwinąć mój nieistniejący talent. Siedziałam potem trzy, cztery godziny dziennie przy pianinie. Okno otwarte, słońko świeci, dzieci szaleją na podwórku, słyszę ich głośne śmiechy i nic. Siedzę jak przymurowana do pianina, pilując „Dla Elizy”. W dodatku mój nauczyciel miał paskudny zwyczaj tłuczenia mnie ołówkiem po palcach za każde, minimalne nawet potknięcie, toteż bałam się lekcji z nim jak ognia. Nic więc dziwnego, że przymuszona nakazem mamy, wystraszona wymaganiami ekscentrycznego nauczyciela znienawidziłam i pianino, i muzykę. Buntowałam się bezskutecznie, bo akurat na tym punkcie mama była nieustępliwa i koszmar mojej edukacji muzycznej trwał z przerwami, także po przyjeździe do Polski. Wyzwoliłam się z niego dopiero po maturze, kiedy wyjechałam z domu na studia.

Mimo że byłam dzieckiem dość zajęтым, zostawało mi także trochę czasu na zabawę w gronie nowych, choć nie tylko polskich koleżanek. Najbardziej zaprzyjaźniłam się jednakże z mieszkającą obok Rajką. Była ona z pochodzenia Rosjanką, ale urodziła się w Łucku i w domu mówiła po polsku. Lubiliśmy się bardzo. Byliśmy do siebie trochę podobne, z tym że ona, taki sam jak ja chudy i patykowaty podłotek, miała czarne, sarnie oczy. Chodziłyśmy wszędzie razem, jak papużki nierozłączki – nawet do kościoła i cerkwi. Najpierw szłyśmy na szkolną mszę o dziewiątej do katedry, a potem o jedenastej, na nabożeństwo do soboru. Zupełnie nie przeszkadzało nam, że modlimy się inaczej do tego samego Boga. Ważne było, że robimy to razem. Rajka była wesołą, pomysłową dziewczyną. Wycinałyśmy ze starych żurnali lalki, rysowałyśmy im piękne sukienki. Bawiłyśmy się nimi w teatr, inscenizując przeczytane bajki. Ulubioną naszą zabawą była „gra w szkiełka”, całkowicie przez nas wymyślona. Chodziło się po ruinach zbombardowanych domów i zbierało kawałki szkła. Były różne – przezroczyste i matowe, gładkie i we wzorki, ale najpiękniejsze były te ze starej, cieniutkiej porcelany w różyczki. One były najcenniejsze. Która z nas znalazła ich więcej – wygrywała. Ot, taka typowo wojenna zabawa. Do dziś lubię starą porcelanę, a mimo to nigdy jej nie kolekcjonowałam. Kto wie? Może właśnie dlatego, że w dzieciństwie brodziłam po kostki w szczątkach pięknych, porcelanowych serwisów Rosenthala, po których zostały tylko szkiełka do gry?

Bawiłyśmy się także ze wszystkimi dziećmi „w chowanego”, w „Niemców i partyzantów”, w „podchody”. Naszym ulubionym miejscem były tunele w zaroślach tamaryszku, porastającego zbocza góry, oddzielającej nas od ulicy Płockiej. Buszowaliśmy w ruinach zbombardowanego gmachu Kasy Chorych. Jednym słowem – wszędzie było nas pełno.

Pewnego razu obie z Rajką i naszą nową przyjaciółką Wałą, która mieszkała na Płockiej w domu z ogromną werandą, postanowiłyśmy zorganizować teatr kukielkowy. Weranda miała być salą teatralną, a duże pudło tekturowe – sceną. Wala, Raja i inne dziewczynki dopuszczone do tajemnicy miały uszyć kukielki. Ja przygotowywałam tekst przedstawienia. Była to, w moim swobodnym przekładzie z Puszkina, „Baśń o rybaku i złotej rybce”. Napisana trzynastozgłoskowcem miała 24 akty! Po prostu zgroza!

Ale nie umiałyśmy inaczej rozwiązać problemu zmiany dekoracji. O wyborze bajki zdecydowała przede wszystkim oszczędność jej wystawienia. Potrzebne były tylko trzy kukielki. Zanim skończyłyśmy szycie lalek i kurtyny, wymalowałyśmy śliczne, duże afisze, zawiadamiające o przedstawieniu z datą, godziną i dokładnym adresem naszego teatru. Rozlepiliśmy je w centrum Łucka już na tydzień przed premierą, do której niestety nie doszło, bo w dwie godziny później zjawiała się policja. Boże! Co to była za chryja! W okupowanym przez III Rzeszę kraju, gdzie obowiązuje zakaz zgromadzeń, ktoś śmie organizować nielegalne przedstawienie teatralne i jeszcze bezczelnie i jawnie informuje o tym społeczność Łucka. Zarekwirowano lalki, sztukę teatralną, a nas, po pouczeniu oddano pod, bardziej niż dotąd, ścisły dozór rodziców. Skończyło się tradycyjną burą domową i sakramentalnym, maminy „ty nas do grobu wpędzisz”. „Wpędzanie mamy do grobu” było zresztą moim głównym zajęciem przez wszystkie lata okupacji.

Zbliżały się kolejne, wojenne Świąta Bożego Narodzenia 1943 roku. Wigilijny stół był skromniutki. Nie było ryby, pierogi bez sera, z samych kartofli i tylko barszcz z uszkami z armatniowskich prawdziwków smakował jak dawniej. W nocy zbudziła nas strzelanina. Strzelano gdzieś koło rogatek miasta, na Barbarówce. Byłyśmy przekonane, że to Niemcy wiwatują na cześć świąt; w tamtej stronie były też ich koszary. Uspokojeni wróciliśmy do łóżek, a rano poraziła nas straszna wiadomość. Banderowcy napadli na przedmieścia Łucka, gdzie schroniła się większość uchodźców z polskich wsi. W okrutny sposób zamordowali kilkadziesiąt osób, w tym naszą znajomą Witkę z niemowlęciem. Byłyśmy tam na modlitwie różańcowej, ale tego, co wdziałam, nie chcę i nie mogę, nawet po tylu latach, opisywać. W niektórych domach banderowcy zostawili kartki z zapowiedzią równie krwawego Nowego Roku.

I znów wrócił tamten strach. Zamarznięty Styr, a za nim, o rzut beretem, banderowska wieś. Za ścianą sąsiad – ukraiński nauczyciel, chodzący na co dzień w wyszywanej koszuli. Dzieliły nas tylko drzwi od przedpokoju, które tata na wszelki wypadek przed Nowym Rokiem zabarykadował szafą. Całą noc czuwaliśmy w napięciu. I znów o północy wybuchła strzelanina, ale tym razem był to salut noworoczny Niemców. Może gdyby wiedzieli, że nadchodzący 1944 rok będzie ostatnim rokiem ich panowania na Wołyniu, nie witaliby go tak uroczyście.

Zaraz po Nowym Roku odbył się pogrzeb ofiar napadu. Szły nieprzebrane tłumy ludzi, niosąc trumny zbite z prostych, nieheblowanych desek, często podwójne na znak, że leżą matka z niemowlęciem. Taką właśnie trumnę podwójną miała Wikcia i jej maleńkie dziecko. Nad otwartą zbiorową mogiłą kazanie wygłosił ksiądz Bukowiński, żegnając zarówno tych, których za chwilę miał pochować, jak i tych, którym nie dane było spocząć w poświęconej ziemi: potopionych w bagnach, spalonych bądź po prostu porzuconych w lesie. Upłynęło wiele lat, a ja ciągle nie mogę tego pogrzebu zapomnieć.

Pod koniec stycznia nad ranem usłyszeliśmy huk wystrzałów artyleryjskich. Nie była to kanonada, wyglądało na to, że strzela tylko jedno działo. Rankiem szosa do Torczyna była już kompletnie zatłoczona. Jechały ciężarówki, auta osobowe, furmanki z tobołkami, szli pieszo uchodźcy z plecakami. Wszyscy na zachód. Wiedzieliśmy już, co to oznacza, Niemcy i ich służalcy, różni folksdojczy, policjanci a także banderowcy itp. nareszcie wynoszą się z Łucka. Szłam na lekcje do pani Heleny i napatrzeć się nie mogłam, z jaką paniką wieją. Od strony Kiwerc atakowały Łuck wojska radzieckie. Zbliżał się wieczór. Niemców już prawie nie było, a my zadawaliśmy sobie dręczące pytanie: kto wejdzie pierwszy do opuszczonego Łucka – Rosjanie czy Ukraińcy? Tej nocy nikt nie zmrużył oka. Siedzieliśmy na wszelki wypadek spakowani, bo ludzie mówili, że Niemcy będą przymusowo wysiedlać ludność cywilną. Światło było zapalone, bo chcieliśmy wiedzieć, czy i kiedy wysadzą zaminowaną elektrownię. Gdzieś koło pierwszej w nocy usłyszeliśmy głąchą, niezbyt dużą eksplozję. Światło zgasło na parę sekund, po czym zapaliło się znowu, tyle że było znacznie słabsze. Potem kolejne eksplozje znaczyły, że wysadzano mosty na Styrcy, czyli że ostatni Niemcy wyszli z Łucka. Czekaliśmy w wielkiej trwodze. Co z nami będzie? Jak to wszystko się skończy. Na ulicach panowała martwa cisza, zupełnie jakby miasto wstrzymało oddech. Nad ranem usłyszeliśmy łomot kolbami w drzwi. Znieruchomiliśmy, nikt się nie odezwał. Pierwsza oprzytomniała ciocia Hania, wyszła do przedpokoju i zapytała „kto tam?”. I usłyszałam najpiękniejsze w moim życiu rosyjskie słowa: „Chazajka otkroj! Giermańcy jest?”. Do mieszkania wszedł patrol. Dwóch zarośniętych mężczyzn. Na głowach mieli papachy z czerwonym pasem, takie, jakie nosili partyzanci. Zdobyli Łuck prawie bez wystrzału, ale mieli zbyt mało sił, aby ruszyć w pościg za uciekającymi Niemcami, którzy po kilku dniach znów podeszli pod Łuck. Zatrzymali się na Styrcy. Dalej iść nie mogli, bo wszędzie, na szczęście, uciekając sami wysadzili wszystkie mosty. Rozpoczęły się dzień i noc trwające walki. Grzechotały karabiny maszynowe i automaty, strzelała artyleria, dochodziło do starć wręcz na zamrzniętej rzece. Z daleka obserwowaliśmy Niemców, nacierających od strony Rowańców. W słonecznej, mroźnej pogodzie powietrze było prawie przezroczyste, a widoczność doskonała. Po śniegu biegły czarne sylwetki wielkości ołowianych żołnierzyków. Biegli, padali, podnosili się, ale coraz więcej zostawało ich na śniegu. Rosjanie bronili się zaciekle, ale przewaga przeciwnika była tak duża, że nadzieja na skuteczną obronę topniała z godziny na godzinę. Uratować nas mogło tylko nadejście posiłków regularnej armii wyposażonej w broń pancerną i artylerię, ale jakoś ciągle odsieczy widać nie było. Aż wreszcie, któregoś późnego wieczoru wyszłam z tatą przed dom. Usłyszeliśmy znajomy hałas:

jechały wozy pancerne, ciężarówki. Z daleka doleciała do nas tak soczysta, wielopiętrowa wiązanka rosyjskich przekleństw, że aż uszy wędły. Byliśmy uratowani i powrót Niemców już nam nie groził. W dwa dni później odrzucono ich aż za Torczyn. Jeszcze nie ucichła na dobre strzelanina, jak ludzie rzucili się do sklepów i magazynów poniemieckich z żywnością. Każdy ciągnął jakieś worki: a to cukier, a to mąkę, ktoś inny papierosy. Wbrew zakazowi rodziców pobiegłam też i ja do znajdujących się w pobliżu zakładów mięsnych. Ludzie wynosili pęta kielbas, torby mięsa, słoninę. Ja przytaszczyłam do domu duże naręcze pięknych patyczków do kielbas. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego rodzice na widok tak cennej dla mnie zdobyczy wojennej śmieją się do rozpuku. Cóż, od zawsze wiadomo, że dzieci mają inne od dorosłych poczucie wartości.

Po odrzuceniu Niemców za Torczyn wydawało się, że życie wraca do normy. Uruchomiono piekarnie, ruszył browar, czynne były niektóre sklepy. I wciąż przybywało wojska. Miasto dosłownie pękało w szwach od ludzi i sprzętu wojennego. Niedługo jednak cieszyliśmy się spokojem.

W pierwszych dniach lutego jechałam z gospodarzem naszego domu, panem Dymińskim, na pogrzeb sąsiada. Płozy sań zgrzytały od czasu do czasu po przewianej ze śniegu jezdni, dzwoneczek na szyi konia brzęczał głośno, ale mimo to usłyszałam daleki warkot samolotu. Byłam pewna, że mi się przywidziało, bo nalotów od dawna nie było. Na wszelki wypadek zaczęłam niespokojnie rozglądać się po niebie. Jest! Leci „rama”, to znaczy samolot obserwacyjny, nie rzuca bomb, ale zazwyczaj zwiastuje nalot. Poczulałam się nieswojo, ale właśnie wjeżdżaliśmy na cmentarz, więc miałam inne zmartwienie. „Co powie mama, jak mnie zobaczy? Przecież kazała mi zostać w domu”. Mama rzeczywiście zdumiała się, ale uspokoiłam ją, że przyjechałam z panem Dymińskim saniami, okryta ciepłą baranicą i zaraz po pogrzebie w taki sam sposób wrócę do domu. Uroczystości pogrzebowe były krótkie. Mama poszła z sąsiadką odwiedzić zbiorową mogiłę pomordowanych, gdzie leżała Wikta, a ja z panem Dymińskim wyruszyłam w drogę powrotną. Przed nami jechały naładowane sianem sanie, tak że wlekleśmy się nogą za nogą. Znow usłyszałam warkot samolotu, przebijający się wyraźnie przez hałas uliczny. „Lecą samoloty” – powiedziałam. „Skąd wzięłyby się tu samoloty, Basiu, front daleko. Przesłyszynałaś się. To auta” – odpowiedział pan Dymiński. Zatrzymaliśmy się na chwilę, bo musiał wstąpić do znajomego w sąsiednim domu. I wtedy wiedziałam już na pewno! Lecą! I leci ich co najmniej eskadra, ciężkich, buczących bombowców. Umiałam już odróżnić wszystkie typy samolotów i wiedziałam, które są niebezpieczne. Zeskoczyłam w mgnieniu oka z sań i co sił w nogach pogałam na cmentarz, z powrotem do mamy. Zawsze w niebezpieczeństwie czułam się pewniej, jeśli byliśmy razem. Spotkałyśmy się w bramie, chwyciła mnie za rękę i pędem ruszyliśmy do stojącej obok kaplicy. Chciałyśmy schować się w jej podziemiach, gdzie była kostnica. Niestety, wszystko zamknięto na kłódkę. W ostatniej chwili, bo samoloty już schodziły do bombardowania, padłyśmy na ziemię tuż koło wejścia do kostnicy, chroniąc się pod mały daszek osłaniający drzwi. Rozpętało się piekło. Co chwila któraś z maszyn ogłuszającym rykiem pikowała dosłownie nad naszymi głowami, zrzucając bomby wzdłuż ulicy cmentarnej. Było ich tyle, że przestałam liczyć. Przysypane kawałkami tynku, odłamkami szkła z rozbitych witraży kaplicy, ogłuszone eksplozjami bomb straciłyśmy poczucie czasu. Wydawało mi się, że leżymy pod tym daszkiem już parę godzin, a to było najwyżej 20 minut. Mimo że ściany kaplicy porwane były odłamkami bomby, zrzuconej na budynek sąsiadujący z cmentarzem, wyszliśmy z tego nieszczęścia cało, bez jednego zadrapania. Byłyśmy tylko szare od kurzu. Odczekaliśmy dłuższą chwilę, mimo przejmującego zimna, i ruszyliśmy do domu. Na ulicy było ciemno od dymu i kurzu z rozbitych domów. Wszędzie pełno gruzu, lejów po bombach. Zwiszały zerwane druty telefoniczne, leżał zabity koń, który jechał przed nami, sań i woźnicy nie widziałam – był tylko obok głęboki, czarny lej. W domu okazało się, że Dymiński uratował się. Zdążył uciec z koniem do znajomego i tam przeczekał szczęśliwie nalot. Martwił się tylko o nas, bo nie wiedział, co się z nami stało.

Ten nalot był pierwszy w długiej serii ponownych ataków niemieckich na Łuck. Nauczona smutnym doświadczeniem trzymałam się teraz blisko domu, naprzeciw którego był potężny schron. W wysokiej górze osłaniającej ulicę Dolną znajdowały się pozostałości starodawnych fortyfikacji miejskich, coś w rodzaju wrytego tunelu o grubych, ponad półmetrowych murach. Nasz sąsiad masarz urządził tam sobie piwnicę, w której przechowywał mięso i gotowe wyroby wędliniarskie. Wejście obudował barakiem, w którym była kuchnia i wędzarnia. Teraz wszystko to służyło jako schronienie dla niemal całej ulicy. W przerwach między nalotami siedzieliśmy w ciepłym pomieszczeniu, jedliśmy posiłki odgrzewane przez nasze mamy. Na zewnątrz stał zawsze jakiś obserwator, którego zadaniem było dać znać, że lecą samoloty, tak abyśmy mogli w porę schować się do schronu. Kiedyś siedzieliśmy sobie w kuchni i usłyszałam daleki warkot, „Lecą samoloty” – powiedziałam, ale wszyscy mnie wyśmiali. „Przecież na dworze jest Michalski, uspokój się, nie panikuj”. „Michalski Michalskim” – pomyślałam – i na wszelki wypadek usiadłam w drzwiach piwnicy. Za chwilę Michalski wpadł do kuchni i przekrzykując wycie pikujących samolotów oznajmił: „Rzuca bomby”, co było jasne i bez jego, pożałuj Boże, alarmu. Każdy padł płackiem na ziemię, tam gdzie stał, a do piwnicy zdążyli tylko nieliczni, oczywiście ze mną na czele. Michalski tłumaczył się, że nie chciał nas przedwcześnie niepokoić, ale stanowisko obserwatora stracił bezpowrotnie.

Przez kilka dni trwała przerwa w bombardowaniu. Powoli wszyscy wracali do domów. W kuchni obok schronu zostały tylko dzieci. Ot, tak po prostu, na wszelki wypadek. Trudno było nas jednak w niej utrzymać, tym bardziej że zaczęła się słoneczna, śnieżna zima, a tuż obok była górką. Wybiegaliśmy więc pojeździć na sankach i nartach, kiedy tylko się dało, pilnie nasłuchując, czy nie zbliżają się samoloty. W taki właśnie słoneczny dzień jeździliśmy z Rajką na nartach. W samo południe zaproponowała, abyśmy pobiegły do jej domu na obiad, bo mama zaprasza na pierogi. Rajka mieszkała już wtedy parę ulic dalej, a do nas przychodziła tylko do schronu. Propozycja była tak kusząca, że zupełnie nie zastanawiając się, pobiegłam razem z nią. Dosłownie parę kroków od domu Rajki uświadomiłam sobie, że nie powiedziałam mamie, dokąd idę. A tu pogoda lotna, może być nalot i oni znów będą umierać ze strachu, że mnie w schronie nie ma.

„Rajka! Zaraz wrócę – powiedziałam – muszę polecieć do domu, bo mama nie wie, gdzie jestem. Zaraz będę z powrotem”. Dobiegałam właśnie do naszej ulicy, kiedy usłyszałam nadlatujące samoloty. Ledwo zdążyłam do schronu. Był to jeden z najcięższych nalotów, jakie przeżyłam podczas całej wojny. W dodatku bombardowano wyłącznie naszą dzielnicę i trwało to chyba z godzinę. Mniej więcej za pół godziny, kiedy było już po wszystkim, przybiegł blady i zapłakany najstarszy brat Rajki, Wala, krzyżąc: „Nie ma ich! Zabici! Zabili całą rodzinę”. Zmartwiłam. Rajka była w zbombardowanym domu. Zostawiłam ją tam. Widziałam, jak wchodziła. Widząc nieme pytanie w moich oczach, Wala powiedział: „Żyje, ale jest ciężko ranna. Lekarze powiedzieli, że nie doczeka jutra!”.

Bomba uderzyła w stojący tuż obok bank, a eksplozja, gruz i odłamki zniszczyły mały domek Waszczuków. Ałę, siostrę Rajki, zabił podmuch. Była chora na serce, więc może umarła ze strachu. W każdym razie żadnych obrażeń zewnętrznych nie miała. Tata zginął na miejscu – odłamek ściał mu pół głowy. Mama z Rajką zdążyły schować się pod łóżko, ale duży odłamek przebił pościel i zabił panią Waszczukową. Rajkę, osłoniętą dodatkowo przez matkę własnym ciałem, poraniło tylko w nogi. Umarła, a właściwie usnęła z upływu krwi, w parę godzin później w szpitalu. Bo krew na wojnie potrzebna była walczącym żołnierzom i nie wystarczała jej dla ratowania małych, umierających dziewczynek.

Biedna, wesoła, czarnooka Rajka. Moja najlepsza przyjaciółka. Powiedziałam „zaraz wracam”, a nie zobaczyłam jej już nigdy więcej. Nie poszłam do szpitala – były następne naloty, dosłownie jeden po drugim. Nie byłam na pogrzebie. Nie odwiedziłam nawet nigdy jej mogiłki na dalekim, prawosławnym cmentarzu, bo nikt nie umiał mi pokazać, gdzie ona leży. Uratowani cudem bracia Rajki poszli natychmiast jako ochotnicy na front. Zora zginął po miesiącu. Wala przyjechał do Łucka na parę dni, na urlop. Był czolgistą, miał dużo odznaczeń i chmurną, zaciętą twarz. Wrócił na front i słuch po nim zaginął. I tak z całej sześciuosobowej, serdecznie mnie zawsze goszczącej rodziny Waszczuków nie pozostał nikt.

W parę dni po śmierci Rajki tata zgłosił się do I Armii Wojska Polskiego i wyjechał do Sum, gdzie formowała się jego jednostka. Nareszcie znów był w mundurze. Bolał bardzo nad tym, że w kampanii wrześniowej otrzymał tylko przydział do Terenowej Obrony Przeciwlotniczej. Był zawodowym artylerzystą, a pójść na front już nie zdążył, bo walka z Niemcami we wrześniu była krótka.

W tym samym czasie, kiedy jeszcze trwały naloty, otworzono szkoły i zaczęła się nauka. Nowością dla nas były szkoły „narodowościowe”, polskie, ukraińskie, rosyjskie. Wszystkie w oparciu o takie same programy radzieckiej „dziesięciolatki” – różnił je tylko język wykładowy.

Chodziłam, oczywiście, do szkoły polskiej, na łuckiej starówce, w sąsiedztwie Katedry, więzienia i zamku Lubarta. Wykładano po polsku, ale uczyłam się w sumie pięciu języków jednocześnie. Rosyjskiego – jako języka urzędowego ZSRR, ukraińskiego – jako języka Republiki Ukraińskiej, polskiego – bo był moim ojczystym językiem, no i francuskiego – bo każdy wykształcony obywatel powinien znać przynajmniej jeden język zachodni. Prywatnie uczyłam się jeszcze łaciny, bo już wiadomo było, że wyjedziemy do Polski, gdzie jest ona obowiązująca w każdym gimnazjum. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak to wszystko wytrzymałam, ale pamiętam, że wtedy nie odczuwałam najmniejszych trudności. Do szkoły powróciłam z zachwytem, bo już bardzo byłam spragniona normalnych, dziecięcych obowiązków. Miałam ich zresztą co niemiara, bo dodatkowo jeszcze chodziłam do szkoły muzycznej i szkółki baletowej. Przy takim nawale zajęć nie mogłam już tak jak dawniej pomagać mamie na bazarze. Mama wróciła bowiem znowu do handlu, bo po wyjeździe taty zostałyśmy we trzy praktycznie bez środków do życia. Bazar przynosił dochody wystarczające, ale stał się niebezpieczny, bo radzieckie władze ścigały tzw. spekulantów, zwłaszcza takich, co nigdzie nie pracują. A mama do zawodu wracać nie chciała. Miała dość szkoły, przygód i pouczeń, jak powinna zachowywać się „radziecka nauczycielka”. W dodatku pensje w oświacie były bardzo niskie, ja rosłam, a wraz ze mną rosły koszty utrzymania. W końcu znalazło się wyjście z tej trudnej sytuacji i mama podjęła fizyczną pracę „dwornika”, czyli zamiatacza ulic. Fikcyjna to ta praca była tylko dla mamy, bo ulica musiała być zamieciona – robiliśmy to obie z ciocią, podczas gdy ona zaopatrzona w dowód „człowieka pracy” i w dodatku „czarnoroboczego” handlowała na bazarze.

Kiedy tata dowiedział się, że jego żona, polska nauczycielka, została radziecką zamiataczką ulic, omalże nie oszalał. Napisał sążnisty list, w którym zbyt wiele było słów o honorze żony oficera, a zbyt

mało rad, jak przetrwać zły czas wojny z dzieckiem i starą ciotką na karku. Tata nie wiedział przecież, że żołd, jaki nam przysłano za jego walkę na froncie, czyli 240 rubli miesięcznie, wystarczał zaledwie na 24 bułki drożdżowe, czyli na 12 moich śniadań, jakie dostawałam, idąc do szkoły. W naszej rodzinie zawsze tak było. Przez całą wojnę tata bronił honoru, a mama walczyła o przetrwanie. Była dzielną kobietą, która dla ratowania bytu rodziny nie bała się najcięższej, choćby nawet poniżającej pracy.

Na bazarze mama radziła sobie dobrze. Z dostawą towaru nie było kłopotu. Co pewien czas przyjeżdżała do nas ze Lwowa znajoma hurtowniczka i przywoziła wszystko, co najpotrzebniejsze: pastę do butów, farbki do tkanin, nici, igły itp. drobnicę.

Pewnego razu przyjechała w bardzo upalny dzień, z mocno nadwierzonym bagażem. Pasta do butów roztopiła się z gorąca i trzeba było coś z tym zrobić. Wszystkie trzy postanowiły rozgrzać cały zapas na piecu, następnie rozlać z powrotem do pudełek. Ciocia wyszła do komórki po drwa i nie zamknęła za sobą drzwi, przez które wszedł pułkownik NKWD, naczelnik naszego rejonowego oddziału. Był on zaproszony na zakrapianą kolację do sąsiada, który na dużą skalę handlował bimbrem i wędliną, toteż musiał żyć dobrze z „naczalstwem”. Nasz nieproszony gość pomylił po prostu domy, ale bardzo się ucieszył, że w czasie przeznaczonym na hulanki wykrył „spekulacyjną melinę”. Kazał wystraszonej kobiecie spakować wszystko do worków, a sam usiadł do pianina i zaczął grać „Na sopkach Mandżurii”. Byłam na podwórku, usłyszałam, że ktoś gra, więc ciesząc się, że przyszła Wala – moja koleżanka, wpadłam do domu. Wpadłam i oniemiałam. „Kto ona?” – zapytał pułkownik. „Doczka” – powiedziała, nie wiem czemu, po ukraińsku – moja mama. „Pomagaj pakować” – rozkazał. „Niedoczekanie twoje” – pomyślałam i zaczęłam pakować systemem: 5 szpilek nici za tapczan – 1 do worka; 4 pudełka pasty – pod szafę, jedno – do worka i tak dalej. Kobiety oprzytomniały i zaczęły robić to samo. W ten sposób 1/3 towaru pozostała w domu, upchnięta po różnych kątach. W pewnej chwili przypomniałam sobie z przerażeniem, że w spiżarce, do której wejście było z przedpokoju, ukryta jest 20-litrowa butla bimbru. Wstawiła ją tam obawiająca się rewizji sąsiadka. Była pewna, że dom żony frontowego oficera wolny jest od najścia milicji. Za bimber kary były tak samo ostre, jak w czasie niemieckiej okupacji. Niewiele się zastanawiając, wybiegłam i wielką butlę przesunęłam do pokoju obok, gdzie na kwaterze mieszkał radziecki prokurator. Bóg jeden wie, skąd wzięłam tyle siły, żeby ruszyć z miejsca taki ciężar. I jakie to było szczęście, że prokurator wyjechał z Łucka na dwa dni!

Kiedy mamę zabrali, powyciągałam wszystkie pochowane uprzednio przedmioty, spakowałam do worka i wyniosłam do sąsiadki. Kazałam jej natychmiast zabrać od prokuratora trefny bimber. Wróciłam do domu trochę roztrzęsiona i zabrałam się za odrabianie lekcji. Nie bałam się o mamę, bo miałam nadzieję, że prokurator, jak wróci, pomoże mi wyciągnąć ją z aresztu. Po godzinie przyszedł znowu pułkownik, aby przeprowadzić, jak powiedział, szczegółową rewizję. Wpuściłam go do mieszkania, bo cóż mogłam zrobić. Był sam, bez świadków. Zaczął przeszukiwanie, a ja wróciłam do przerwanych zajęć. „Chodź tutaj” – rozkazał. „Po co?”. „Musi być świadek, żebyście nie mówili, że coś ukradłem”. „No, jeśli sami uważacie, że was trzeba pilnować... nie dokończyłam, bo zamierzył się na mnie ręką, ale nie uderzył. Coś go powstrzymało. Szperał i szperał, a ja chodziłam za nim krok w krok, czując jak narasta we mnie wściekłość. Cieszyłam się tylko złośliwie, że zdążyłam schować przed nim u sąsiadki uratowany przed rewizją towar i że nie wszystko wpadło w jego chciwe łapy.

Patrzyłam, jak łązi z kąta w kąt, i w końcu nie wytrzymałam: „Można wiedzieć, czego szukacie” – zapytałam zjadliwie – przecież już wszystko, co było, zabraliście i w dodatku zatrzymaliście moją mamę. Co ona wam zrobiła?”.

Sięgnął akurat pod poduszkę i wyjmując z torebki portmonetkę mamy, powiedział „Szukam broni”. „Prawilno! W tej portmonetce schowaliśmy karabin maszynowy! Tata nam przysłał z frontu”. Tym razem musiałam błyskawicznie uskoczyć, bo byłby mnie naprawdę huknął w łeb. Świadomie ugryzłam go dotkliwie. Wiedział, że on młody, zdrowy byk myszkuje po domu, strasząc kobiety człowieka, który gdzieś daleko poniewiera się w jakiejś ziemiance. Zaraz potem skończył rewizję i wyniósł się z naszego mieszkania.

Rano wrócił prokurator, tak jak przewidziałam, zaraz zadzwonił do naczelnika, zwymyślał go za gnębienie kobiet, które wychowując samotnie dziecko, muszą sobie jakoś radzić i po paru godzinach mama wróciła do domu.

Pułkownik wpadał do nas jeszcze parę raz, przy każdej wizycie u sąsiadów. Na pytanie: „Czego sobie życzy?”, niezmiennie odpowiadał: „Sapogi poczystit”. Dostawał szczotki, pastę, w milczeniu czyścił buty i mówiąc „doswidanja”, wychodził. Aż wreszcie trafił na mnie, byłam w domu. Na jego „sapogi poczystit” wzięłam się pod boki i najczystsza ruszczyzną wygarnęłam, co myślę o takiej bezczelności. Nie darmo z rosyjskiego miałam „otliczno”.

„Nie dość, że zabraliście nam cały worek pasty – krzyczałam – to jeszcze przychodzicie wymazywać nam ostatnie pudełko. Przecież to nieprzyzwoite, trzeba być bez sumienia...”. Przemowę kończyłam już za drzwiami kuchni, do której przerażona ciocia siłą mnie wciągnęła. Może nie było to mądre, a tym bardziej bezpieczne, ale poskutkowało, bo więcej już nas nie nachodził.

Zmora każdego przyfrontowego miasta były kwatery dla wojska. Od lutego 1944 roku do letniej lipcowej ofensywy stale ktoś u nas mieszkał. Musieliśmy zwalniać pokój i gnieść się w czwórce w kuchni. Różni byli ci nasi wojenni lokatorzy. Jedni przespali noc i szli dalej, inni zatrzymywali się na kilka dni, jeszcze inni mieszkali u nas dłużej. Byli tacy, co zachowywali wyniosły dystans i tacy, co wyraźnie chcieli odetchnąć od wojny, grzejąc się ciepłem cudzego domu. Łączyło ich jedno: zachowywali się grzecznie i nigdy nie wyrządzili nam żadnej przykrości.

Podczas oblężenia Łucka mieszkał u nas przez kilka dni pułkownik kawalerii. Był to typowy kontakt „zdrastwuj – doświdania”. Przyjeżdżał na pięknym, karym koniu, elegancko ubrany, w zarzuconej na ramiona burce i w obszytej karakułowym szarym futrem „kubance” na głowie. Przystojny, wyniosły, wyglądał bardziej na białogwardzistę niż na czerwonarmiejca, tym bardziej że miał ordynansa, który codziennie czyścił mu lśniące, zupełnie „przedwojenne” oficerki. Ani z nim, ani z nami prawie nie rozmawiał. Był u nas chyba tydzień, a nie wiem, czy wykształcił z siebie z dziesięć słów. Nawet nie wiedziałam, jak się nazywa.

W tym samym czasie u sąsiadki mieszkającej w dużym, wygodnym domu stanął na kwaterze generał ze sztabu I Ukraińskiego Frontu. Chodziłyśmy tam z mamą co wieczór po mleko. Pewnego razu do kuchni wszedł adiutant niosący miskę bielusińskiego, długoziarnistego ryżu. Wpatrywałam się jak urzeczona. Od początku wojny nie widziałam czegoś równie wspaniałego i już prawie zapomniałam, jak smakują zrobione przez moją babcię z ryżu i mięsa gołąbki – mój największy przysmak. Myślę, że adiutant zauważył i właściwie odczytał mój poządlivy wyraz oczu utkwiony w misce, bo następnego wieczoru zapytał mamę, czy nie zechciałaby wymienić ryżu na kaszę. „Generał patrzeć już na ryż nie może – powiedział – marzy o zwykłym pęczaku, omaszczonym słoninką”. „Och, jak dobrze, że są ludzie, którzy mają takie marzenia” – pomyślałam. Uszczęśliwiona tak nieoczekiwaną propozycją mama natychmiast przyniosła generałowi upragnionej kaszy, a z ryżu zaraz zrobiła wspaniałe gołąbki. Boże! Co to była za uczta! Zajadając się nimi, nawet nie pomyślałam, że oto zostałam w taktowny i delikatny sposób obdarowana czymś, czego pragnęłam najbardziej. Bo przecież trudno uwierzyć, że generał nie mógł dostać kaszy w wojsku. Co jak co, ale w żadnym wojsku nigdy jej nie brakowało.

Ze wszystkich stojących u nas na kwaterze wojskowych najbardziej polubiliśmy dwóch młodziutkich oficerów: Misze i Sławka. Byli to chłopcy dwudziestoletni, którym wojna przerwała studia. Misza – na pierwszym roku Politechniki w Taszkencie, Sławkowi – na drugim – w Konserwatorium Leningradzkim. Mieszkali u nas dość długo – dwa, a może trzy tygodnie, tęsknili za rodzinami, toteż garnęli się do naszego domu jako namiastki własnego. Sławek był Żydem, rodzinę miał w Leningradzie, nie wiedział, czy ktokolwiek z nich przeżył blokadę. Dalekich jego krewnych zgładzono podczas niemieckiej okupacji. Stąd często był zamyślony i smutny. Siadał do pianina i grał – ale jak grał! Grał tak, jakby chciał zapomnieć o całym świecie. Pomagał mi także w opracowaniu etiud muzycznych, toteż podczas jego u nas pobytu znacznie rzadziej dostawałam po palcach ołówkiem od mego zwariowanego nauczyciela – sadysty. Często też grywaliśmy razem na cztery ręce. Zwłaszcza lubiłam walczyka „Gdybym ja miał złote góry” i „Cygankę”, której mnie nauczył. Jest to jedyny utwór, jaki czasami dziś jeszcze gram. Największy pożytek miałyśmy – ja i moje koleżanki – z Miszy. Rozwiązywał nam najbardziej trudne zadania, przystępnie tłumaczył wszystkie zawłości trygonometrii i algebry. Kiedy miał tylko czas, przychodził do domu i mówił: „Barbara, przetłumacz mi swoje zadania z matematyki, daj mi je rozwiązać, niech zapomnę na chwilę o tej przeklętej wojnie”. Skrupulatnie oddawali cioci wszystkie swoje oficerskie przydziały żywnościowe, bo rozumieli trudności, z jakimi się borykamy. Kiedy przed letnią ofensywą wyjeżdżali na front, Misza powiedział: „Barbara! Pisz do mnie, bo żołnierz, do którego nie pisze dziewczyna, ginie pierwszy od kuli”. Może żartował, bo zawsze odnosił się do mnie z taką dziwną mieszanką powagi i żarliwości. W każdym razie ja przejęłam się tą prośbą i przynajmniej raz w tygodniu wysyłałam na numer jego poczty polowej „triochugolnyje konwierty”. Odpisywał mi regularnie. Każdy list zaczynał się „Wielce szanowna Basiu”. Dziś mnie to śmieszy, ale wtedy byłam dumna z takich listów i z misji, jaką mi powierzył. Kiedyś poprosił, bym zapytała mamy, czy mogą przyjechać ze Sławkiem do nas na tygodniowy urlop, za krótki, żeby dojechać do Taszkentu czy Leningradu. Byliśmy dla nich wyraźnie zastępczą rodziną. Mama oczywiście się zgodziła, bo lubiła ich bardzo. Przyjechali i spotkali się z moim tatą, który już po raz trzeci nas odwiedził. Spędzili razem mocno zakrapiany „sojuszniczy wieczór”, po czym wszyscy trzej wyjechali na front – każdy do swojej jednostki. Zaczęła się ofensywa.

Sławek został ciężko ranny pod Warszawą, prawdopodobnie nie przeżył. Misza przestał pisać w kwietniu 1945. Jestem pewna, że zginął. Nie mogłam widać uratować go od śmierci, bo nie byłam jego prawdziwą dziewczyną. Tak więc nie udało nam się oszukać losu.

Kiedy tata przyjechał po raz pierwszy, było to dla nas kompletne zaskoczenie. Wracalam ze szkoły i zobaczyłam idącego mi naprzeciw żołnierza w polskim mundurze. Przyśpieszyłam kroku, żeby go sobie lepiej obejrzeć. Nie widziałam rogatywek od manewrów na Kresach w 1938. Gdy podeszłam bliżej, stanęłam jak wryta! To był tata! Przyjechał na dwa dni z Kiwerc, gdzie stacjonowała jego dywizja, i choć wiadomo było, że teraz już niedługo wyruszy na front, radość ze spotkania była ogromna.

Dziś coraz częściej słyszę, że wojsko gen. Berlinga było niesłuszne. Nic mnie to nie obchodzi, bo dobrze pamiętam wzruszenie i dumę na widok ojca w polskim mundurze. Nie był to mundur piękny, jak jego przedwojenny, galowy, ale miał rogatywkę z orzelkiem. I choć orzeł był bez korony, mnie to nie raziło, bo takie właśnie orły widziałam na rycinach starych, rycerskich sztandarów w wojskowych książkach ojca. Tylko buty były szkaradne, jakieś szerokie, pomarszczone, za nic nie dawały wyczyścić się na wysoki połysk. Gdzie im było do eleganckich, obcisłych oficerek taty. Wyciągnęłam je natychmiast z szafy, ale cóż! W wojsku obowiązywał regulamin i tata nie mógł włożyć swoich przedwojennych butów.

Nie miał też konia, ślicznej kasztanki z białą skarpetką – „Tamizy”. Przyjechał „gazikiem” z kierowcą. Powiedział: „Sierzancie, do wieczora przechodźcie pod komendę mojej córy. Niech jedzie, gdzie chce”. Ale była uciecha! Załadowałam do auta wszystkich, których lubiłam. Nareszcie mogłam zemścić się na dwóch złośliwych gnomach, którzy spłoszyli mi kiedyś konia, tak że poniósł, a ja spadłam. Jeździliśmy po całym Łucku jak szaleni. Pewna, że wszyscy na mnie patrzą, pękałam z dumy. Nareszcie znów byłam oficerską córką. Tata przyjechał do nas jeszcze dwa razy na krótkoterminowe przepustki. Odwiedził nas po raz ostatni, aby pożegnać się, zanim wyruszy na front. Spotkaliśmy się ponownie dopiero w 1947.

W czerwcu albo w lipcu, mniej więcej w rok po spaleniu szkoły, mama zdecydowała się pojechać do Armatniowa. Zrobiło się już względnie spokojnie, bo od kilku miesięcy specjalne tzw. istribitielne bataliony walczyły z banderowcami. Chodziło nie tyle o ukaranie ich za mordowanie Polaków, co o bezpieczeństwo na tyłach frontu. Banderowcy nienawidzili Armii Czerwonej, komunistów bardziej jeszcze niż nas, więc tu i tam frontowi żołnierze ginęli z ich rąk. Pod koniec lutego 1944 roku na armatniowskiej szosie niedaleko Kotowa wpadł w banderowską zasadzkę i został śmiertelnie ranny dowódca I Ukraińskiego Frontu gen. Watutin. Po jego śmierci akcja tępienia banderowców przybrała na sile. Zapełniali oni więzienie w Łucku, skąd większość z nich wywożono do łagrów lub sądzono na miejscu, wykonując wyroki śmierci. Jedną z takich egzekucji odbyła się w centrum miasta. Powieszono dwóch przywódców najbardziej krwawych oddziałów. Przyszły tłumy ludzi. Od czasu napadu na Barbarówkę nie było w Łucku takiego zgromadzenia. Poszła tam też i mama, ale mnie zamknęła w domu, uważając, że takie wrażliwe dziecko jak ja, nie powinno uczestniczyć w, bądź co bądź, makabrycznym widowisku. Tylko, że ja nie byłam już wrażliwym dzieckiem.

Nie zabito nikogo z najbliższej mojej rodziny na wojnie i wszyscy szczęśliwie ją przeżyli. Zginęła tylko gdzieś mała, współczująca ludzkiej niedoli dziewczynka, która z narażeniem życia próbowała ratować radzieckich jeńców od głodowej śmierci i którą w nocy dręczyły koszmary po śmierci dwojga żydowskich starsuszków, zamęczonych na śniegu pod lasem. Może zginęła na armatniowskiej szosie, a może na pogrzebie ofiar krwawej nocy wigilijnej w 1943. Nie wiem, ale od dawna jej we mnie nie było. Ciemną nocą, bo siódma rano czasu moskiewskiego na Wołyniu to była ciemna noc – szłam do szkoły, nakładając drogi tylko po to, aby popatrzeć na dwóch powieszonych morderców, żółtych w blasku reflektorów, podświetlających szubienice. Wisieli tam ku przestrodze trzy dni, a ja przez wszystkie te dni szłam do szkoły okrężną drogą. I z satysfakcją oglądałam prowadzone z więzienia kolumny banderowców, wywożonych do łagrów. Nie było we mnie żalu i współczucia, tylko mściwa radość, że oto skończyło się wreszcie ich panowanie, że dosięgła ich kara za męczeńską śmierć Adasia, Edka, Tarabów i tysięcy innych, nieznanych mi z imienia i nazwiska.

Odwet, z jakim spotkali się banderowcy ze strony władz radzieckich, był z pewnością okrutny, ale jak mówi przysłowie „na rozpaczliwe choroby, rozpaczliwych trzeba lekarstw”. Dzięki tej akcji już po paru miesiącach ludzie wyjeżdżali poza Łuck na wieś i wracali szczęśliwie. Mama postanowiła zaryzykować i odwiedzić dawne strony, zobaczyć szkołę.

Okazało się, że sąsiedzi uratowali większość naszych rzeczy – za wyjątkiem książek, które spaliły się w tym nieszczęsnym kufrze. Natychmiast wszystko chcieli mamie zwrócić, ale jej zależało tylko na pamiątkach rodzinnych. Było tam moje duże, portretowe zdjęcie, oprawione w piękne, złoczone ramy, ale tego właśnie sąsiedzi oddać nie chcieli. Mama, myśląc że chodzi o ramy, zgodziła się, aby zatrzymali je sobie – zależało jej tylko na mojej fotografii. „Pani – powiedział ojciec Oli, mojej ukraińskiej koleżanki – weźcie sobie te ramki, po co one nam. Zostawcie zdjęcie córki. Basia bawiła się z naszymi dziećmi. Niech mają po niej jakąś pamiątkę”. I tak właśnie to wszystko było splątane, zrosnięte – nienawiść i przyjaźń. Komuś, kto tego nie przeżył osobiście, trudno w tym wszystkim się połapać.

Po powrocie mamy żyłyśmy spokojnie dzień po dniu, martwiąc się tylko o ojca, który gdzieś tam wojował. Pisywaliśmy do siebie często. On przysyłał mi piosenki i wiersze, ja składałam szczegółowe sprawozdania z wydarzeń rodzinnych, dołączając niekiedy wielce patriotyczne malunki. Jakieś orły na sztandarach, skrzyżowane szable, ryngrafy z Matką Boską. Bo ciągle kołatało się we mnie ukształtowane pod wpływem romantycznych lektur rycerskie wyobrażenie wojny.

Aż kiedyś listy przestały przychodzić i nie było ich chyba miesiąc. Ani jednego! Pocięłyśmy się, że może poczta wojenna je pogubiła, ale dręczący niepokój coraz częściej płoszył sen. Później, już po wojnie, dowiedzieliśmy się, że ojciec rzeczywiście był wtedy w wielkim niebezpieczeństwie, bo pod Jastro-

wem zostali otoczeni przez przebijającą się do Kołobrzegu niemiecką dywizję pancerną. Na szczęście, wyszedł z tej opresji cało, choć na cmentarzu żydowskim w Wałczu zostało wielu jego kolegów. Nigdy nie wiedziałyśmy, gdzie tata walczy – była cenzura i tajemnica wojskowa. Raz tylko domyśliłam się, gdzie jest, kiedy w kwietniu 1945 ciężko chorowałam na odrę. Dostałam wtedy od taty list, w którym napisał „Córeczko, popatrz, razem przechodziliśmy ciężko odrę”. Wtedy wiedziałam, że jest już blisko Berlina.

Aż wreszcie nadszedł ten długo wyczekiwany dzień. Do klasy weszła, przerywając lekcję „pionierowożata”, czyli drużynowa pionierów, i powiedziała: „Rebiata, siewodnia okończyłaś Wielikaja Otcziesniennaja Wojna”. Był 9 maja 1945.

Salut kremlowski był naszym w porównaniu z szaleństwem, jakie ogarnęło naszą szkołę. Wróciłam do domu zachrypnięta, splakana i pijana radością. Wiedziałam, że tata już jest bezpieczny i że niedługo się zobaczymy. Choć wojna się skończyła, jej ponure skutki długo jeszcze ciążyły na moim dzieciństwie. Musiałam porzucić strony, w których się urodziłam i wychowałam. W ostatni dzień nauki w szkole rozstawałam się z przyjaciółmi nie na dwa miesiące wakacji, lecz na całe życie. Rozsypaliśmy się po świecie niczym koraliki zerwanego naszyjnika. Nigdy więcej nie spotkałam nikogo z nich. Nie wiem, gdzie jest Wala, z którą zakładałam tak niefortunnie teatr kukielkowy. Nie znam adresu Luśki, z którą sprzątałam kinazę – karaïmską świątynię, i z którą zgodnie przepłakałam cały dzień po wyjeździe Edka. Nie wiem, dokąd zawieźli Edka, chłopca, z którym poszłam na pierwsze w życiu wagar.

Od czerwca 1945 ciągle ktoś wyjeżdżał. Zegnaliśmy się na rampie kolejowej, płacząc, a grupka odprowadzających topniała z dnia na dzień, aż wreszcie i na nas przyszedł czas. Sprzedaliśmy to, czego wywieźć nie było można, zapakowałyśmy worki, walizy, żywność, drobne sprzęty i załadowaliśmy się do „bydłowego” wagonu, w którym oprócz naszej trójki jechała pani Helena z matką i czteroosobowa rodzina mojej szkolnej koleżanki Wandzi. Był to ostatni transport, jaki wyjechał z Łucka do Polski.

Leżałam na wysoko, prawie pod sufitem, spiętrzonych tobołach, tuż przy małym okienku i patrzyłam na przesuwające się krajobrazy mego dzieciństwa. Nie było mi żal. No, bo czego miałam żałować? Zostawały za mną pogorzeliska polskich i ukraińskich wsi, zdziczałe wiśniowe sady, groby i bagienne cmentarze bez mogił. Na nielicznych przystankach ukraińskie dzieci wygrażały nam z nienawiścią pięściami, wykrzykując „Lachy za San! Na piaski!”. Nie byliśmy im dłużni – odkrzykiwaliśmy „Muzyki, hadiuki na Sybir! Na białe niedźwiedzie!”. Śpiewaliśmy złośliwą wersję ich hymnu „Szczę ne wmerła Ukraina!”, z której pamiętam dwie ostatnie linijki „Czoho Lachy ne wybyły, chaliera wyduszyt!”.

W złą godzinę były wypowiedziane te słowa. Ludzie z naszych stron mówili, że nie ma już Armatniowa. Ukraińców, naszych sąsiadów, wywieźli na Sybir czy do Kazachstanu. Pojechali gdzieś ze swojej Ukrainy Ola, Stiopa, Hryćko i wielu innych towarzyszy moich dziecięcych zabaw, niezmaconych nienawiścią narodowych waśni. Chaty zburzono, zasadzono las i wybudowano sanatoria. Nie wiem, czy to prawda? Nie wiem i sprawdzać nie będę.

* * *

Od opisanych tutaj wydarzeń minęło ponad pół wieku. Wiele się zmieniło. Nie ma już w moim sercu tej dziecięcej nienawiści, z jaką opuszczałam Wołyń. Dziś o wiele bardziej rozumiem racje drugiej strony, choć nadal potępiam barbarzyńskie i okrutne metody walki. Wypaliło się, oddaliło, już nie boli tak jak przed laty.

I kiedy siedzę w swojej chacie na skraju lasu po tylu latach, patrząc na łuny zachodzącego słońca, na snujące się od rzeki mgły, czasem zdaje mi się, że widzę sinobure tumany na błoniach od Styru, tak dobrze widoczne z naszej ulicy Dolnej. I przypomina mi się piosenka, jakiej uczono mnie w ukraińskiej szkole pod niemieckim panowaniem:

Oj Wołyniu tnij ndnyj,
Tebe ne zabudu, Do
samoi smerti Pamjataty
buda.